

NR 188 ROK XVII CENA 30 ZŁ

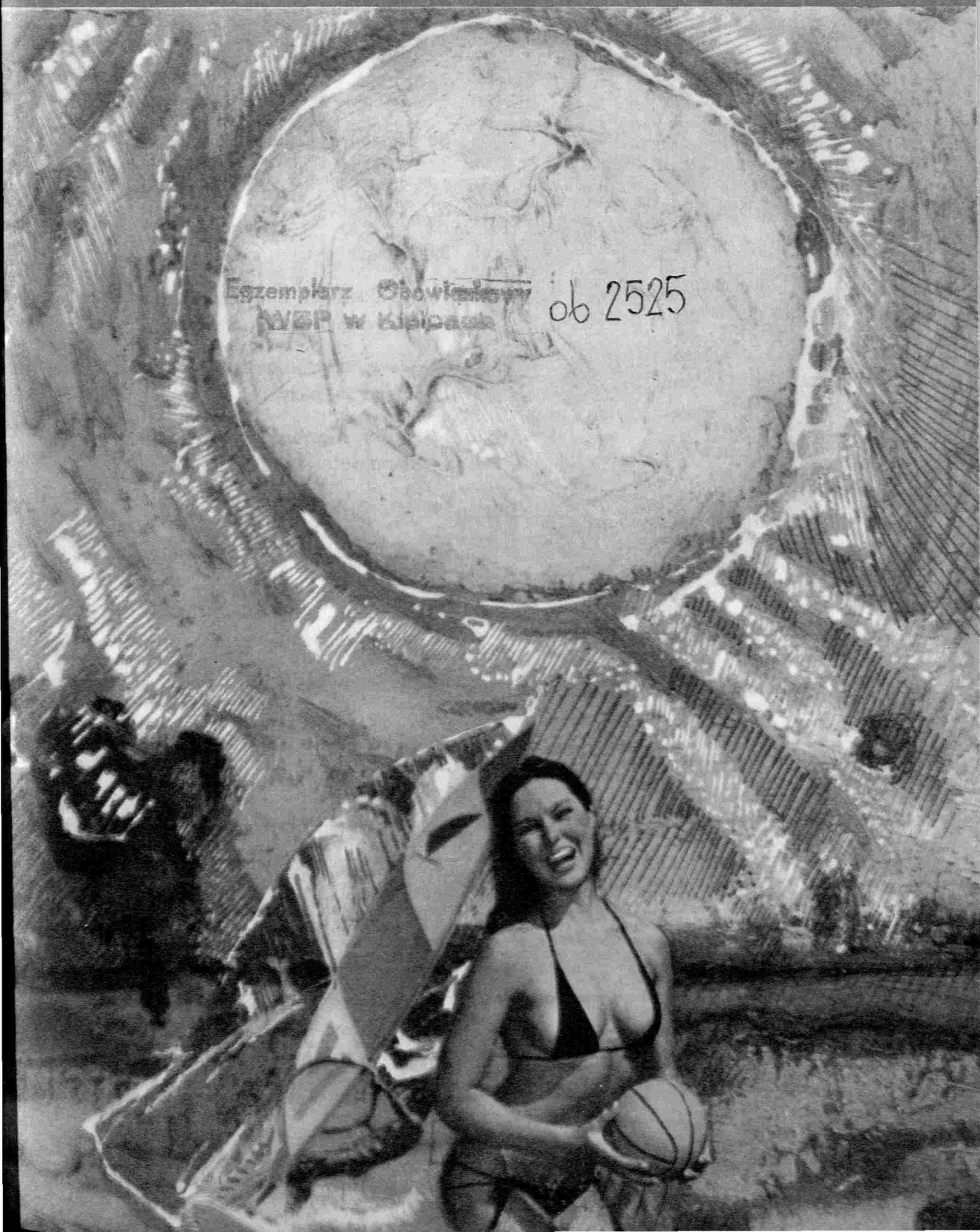
PL ISSN 0478-8718  
Nr indeksu 37143

# przemiany

MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY

8

KIELCE  
SIERPIEŃ 1986



Exemplarz Obowiązkowy  
WSP w Kielcach

ob 2525

# W NUMERZE:

- |                                                                                 |                                                         |
|---------------------------------------------------------------------------------|---------------------------------------------------------|
| 1 <i>Jerzy Daniel</i><br>Aktorzy drugiego planu                                 | 34 Specjalne względy dla oficyny                        |
| 5 <i>Jacek Pieczonka</i><br>Skanseny                                            | 35 Plastyka                                             |
| 8 <i>Longin Kaczanowski</i><br>Żołnierze z tamtych lat                          | 35 Listy                                                |
| 12 <i>Zbigniew Leoniak</i><br>Wiersze                                           | 36 <i>Barbara Kalinowska-Keler</i><br>Wiersze           |
| 13 <i>Julita Twardowska</i><br>Zatopiony dzwon                                  | 37 Teatr                                                |
| 17 <i>Jadwiga Karolczak</i><br>Ludzie żyją parami                               | 39 Książki                                              |
| 20 <i>Zbigniew Nosal</i><br>Świadek Jehowy                                      | 41 <i>Aleksander Zaczyński</i><br>Żurnalista z Ciepłowa |
| 24 <i>Barbara Erber</i><br>Miejsce dla Bernasiewicza                            | 42 <i>Jerzy Fijałkowski</i><br>Skąd ta nazwa?           |
| 26 <i>Marzena Wędrzyk</i><br>Głód                                               | 43 <i>Józef Rurawski</i><br>Komputery, komputery...     |
| 28 <i>Józef Z. Głogowski</i><br>Ciągłe coś nowego...<br>(To Poland and Victory) | 44 Prosto z Wąchocka                                    |
| 32 <i>Henryk Kawiorski</i><br>Stacja Dokądś                                     | 45 Z różdżką i wahadełkiem                              |
|                                                                                 | 46 Apteka natury                                        |
|                                                                                 | 47 Kronika                                              |
|                                                                                 | 48 Krzyżówka                                            |

Okladkę projektował  
**TADEUSZ MAJ**

**przemiany**

**MIESIĘCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY**  
ul. Śniadeckich 2  
25-366 Kielce

Zespół: JERZY DANIEL (redaktor naczelny — tel. 489-91), LONGIN KACZANOWSKI, JADWIGA KAROLCZAK, URSZULA KENDRA (redaktor techniczny), ZBIGNIEW NOSAL, STANISŁAW RAMS, JULITA TWARDOWSKA.

Rada Redakcyjna: BOGDAN BETZ, TOMASZ GAJDA, prof. dr hab. WOJCIECH KALINOWSKI, dr HELENA KISIEL, TADEUSZ KUCHARZYK, WOJCIECH KOTASIAK, RYSZARD MIERNIK, STEFAN MŁODAWSKI, prof. MIROSŁAW NIZIURSKI, doc. dr hab. JAN PAĆLAWSKI (przewodniczący), MARIAN RUMIN, IRENEUSZ SKRZYŃSKI.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo ich skracania.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Kieleckie Wydawnictwo Prasowe w Kielcach. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Kielcach. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Prenumerata kwartalna — 90 zł, roczna — 360 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-950 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-20/045-139-11.

Nakład 9195.  
N-3

PL ISSN 0478-6718  
Nr indeksu 37143

# AKTORZY DRUGIEGO PLANU



Rys. Waldemar Oleszczak

**Jerzy Daniel**

Gdyby przeprowadzić ankietę stawiającą przed tak zwanym respondentem zadanie, aby wymienił, ale bez ociągania, wykrętów i zwłoki do jutra lecz po prostu na poczekaniu — nazwiska dziesięciu postaci chlubnie zapisanych w dziejach regionu, ludzi, których wydała świętokrzyska, kielecka ziemia bądź tych, którzy z metryką skądinąd, niekiedy z odległego świata, a jej poświęcili swoje talenty, pasję, pracę, zawsze — kawał życia...

Gdyby taką ankietę rozpisnąć...

**O**BY jednak nie przyszła komuś do głowy nieroztropna ciekawość, by ją rzeczywiście przeprowadzić, bo dopokąd będzie pozostawać w

sferze zamiaru, możemy żywić się szczyptą nadziei i ludzić iluzją, że w prognozowaniu jej wyników dopuszczamy się krzywdzącej pomyłki

mniemając niesprawiedliwie i błędnie, że indagowanym sprawi wielką trudność zejście odrobinę poniżej wierzchołka areopagu, na którym — choć to szczyt — zresztą żadnego tłoku nie widać, bo znajduje się tam nieliczne towarzystwo zażywające komfortu nadmetrażu. Kogóż tam nasz respondent dostrzeże, kogóż rozpozna? Kogóż do onej ankiety poda?

Oczywiście, przede wszystkim i na pierwszym miejscu nazwisko owego pana, najwyraźniej centralnej postaci zgro-



madzenia znakomitych, z zadowolonym miną, choć z wawrzynem zdobiącym skronie, który gestem zdradzającym niewprawność i zakłopotaną dumę poprawia na piersi szarfę z napisem: „Tyś nasze sumienie — naród”. Pobok zaraz, zachowujący się z atencją wobec Największego, zdyscyplinowani w uważaniu, aby się przed Niego nie wysuwać — już to imię Rcj, już to oczywiście Staszcie wiodący spór zapewne nie teologiczny, także z księdzem Ściegiennym, w pobliżu w sukmanie — ani chybi Naczelnik, może jeszcze utrwalony w pamięci przez szkolną lekturę Dygasiński, prędzej niż rodzimym Szermentowski — przyszywany Sienkiewicz. Kto dalej, kto jeszcze...

Zaniechajmy zgadywania, bo przecież nie o to chodzi, by gubić się w domysłach, czy wystarczy potocznej wiedzy na dwa jeszcze, pięć, paręnaście nazwisk (na tyle na pewno wystarczy), ale by uzmysłowić sobie dojmujący sposób odnoszenia się do przeszłości, nade wszystko zaś do ludzi, którzy zapisali się w niej „ponadprzeciętnym” czynem. Ustanowił się (ale przecież niezupełnie sam) regionalny kanon hagiograficzny, w których pomieściliśmy jakże nielicznych. Obecni tam znaleźli się w godnym i przynależnym im miejscu, znaleźli się zasłużenie i nikt im zajmowanej pozycji ani odmawiać ni wymawiać nie chce, ale trochę nam tam zbrązowali, trochę spatynowali w pomnikowe monumenty przysłaniające swym cieniem rzeźby wybitnych, zasłużonych, niesłusznie zapomnianych. I dość nam satysfakcji z powinowactwa z pomnikami. Manifestujemy do nich przywiązanie, szacunek, posługujemy się nimi niczym liczmanami i symbolami, przywołujemy ich na świadków świetności tej ziemi, adorujemy, pamiętamy o rocznicach, używamy jako dekoracyjnych wstawek w referatach i na to wszystko za-

śługują. Ale czy inni nie zaśługują na nic, czy mają przez wieczność pozostawać anonimowymi statystami, nie zaśługiwać na pamięć o nazwisku, czy powinni pozostawać aktorami drugiego planu tylko dlatego, że zabrakło im z jakiegoś powodu siły przebiccia, i nie zostali wydobyti ze swojej epoki, przedstawieni współczesnym, aby cieszyć się ich estymą...

Jakże wielu ich było. Ludzie sztuki, ludzie pióra, naukowcy, badacze, inżynierowie, konstruktorzy, działacze gospodarczy. Nieznani.

Bo czy należycie jest znany, nasz przecież, rodak spod Waśniowa, urodzony w wiosce Gaj, znakomity liryk, wybitny — obok Wacława Potockiego i Jana Chryzostoma Paska, acz cieszący się dziś mniejszą sławą niż oni, choć w swoim czasie bardzo popularny i ceniony — reprezentant baroku sarmackiego, Wespazjan Kochowski (1633—1700)? Piewca i uczestnik wyprawy wiedeńskiej, płodny twórca. Gdzież szukać choćby najskromniejszego wyboru jego utworów. Człowiek stąd, czy nie powinien zająć się nim także człowiek stąd, z uczelni humanistycznej, a wygotować obszerniejszą monografię, wybór utworów poetyckich; regionalna oficyna, wierzę w to, zechciałaby zająć się ich wydaniem. Na konto sukcesu ostrowieckiego muzeum trzeba zapisać, że przed dwoma miesiącami zorganizowała konferencję naukową poświęconą Kochowskiemu i jego czasom. I tyle. Postać funkcjonująca w podręcznikach historii literatury, całkowicie nieobecna w humanistycznej tradycji regionu kształtowanej współcześnie. Postać poza nawiasem, poza obiegiem.

Ale Kochowski i tak jest w lepszej sytuacji, niż cała plejada pisarzy dziewiętnastowiecznych, bo chociaż niekiedy, przy jakiejś okazji, gdzieś

pojawi się jego nazwisko. Ubiegłowieczni — którzy są nam znani? Nawet Dygasiński (uwaga, w przyszłym roku minie półtora wieku od jego urodzin), obwołany piewcą Ponidzia został ustawiony w odległym tle, coż mówić o innych. Przyborowski? Jego się czyta, ale żeby wiedzieć, że urodził się (1845) w Domaszowicach, a zmarł w Radomiu (1913), gdzie osiadł pod koniec życia, na to trzeba już zaawansowanego albo znawcy historii literatury, albo regionalisty. Żadna jest wiedza o tym, że oprócz powieści pisał rozprawy historyczne.

Dygasiński i Przyborowski to jeszcze „nazwiska”. Ale komu co powie dzisiaj nazwisko Karola Balińskiego (1812—1864) rodem ze Szczekocin, sybiraka, członka Stowarzyszenia Ludu Polskiego, towiańczyka. Spod jego pióra wyszły m.in. „Farys — wieszcz” i „Powieści ludu spisane z podań”. Albo z tego samego roku Jan Nepomucen Jaśkowski z Wąchocka. Zmarły w 1882 r. poeta był autorem głośnych wierszy mówiących o cierpieniach Polaków, pisanych w okresie poprzedzającym wybuch powstania styczniowego. Pozostawił m.in. „Balladę jakich wiele”. Albo Wacław Karczewski (1855—1912) pochodzący z Woli Siennieńskiej koło Łży pisarz i dramaturg, którego pierwszym nauczycielem był Adolf Dygasiński. Krytyka obwołała go dużym talentem, a jego sztuka „Lena” odniosła duży sukces sceniczny. Znaczne wartości przyznaje się jego stylizowanej powieści „W Wielgiem”. Albo Stefan Krzyżoszewski urodzony w 1866 r. w Snochowicach. Pisarz oraz płodny i wzięty dramaturg. Jego utwory sceniczne „Piękna ogrodniczka”, „Małe dusze”, „Tęcza”, „Edukacja Bronki” i in. chętnie grano w warszawskich teatrach przed pierwszej wojną światową. Albo Kazimierz Laskowski (1861—1913) z Tokarni pod Chęciami. Używał pseudo-



nimu (El). Należał do najpopularniejszych poetów — na przełomie wieków. Wprawdzie mieszkał w Warszawie, ale natchnienie czerpał z utrwalonych w pamięci obrazów z lat dzieciństwa spędzonego u podnóża chęcińskiego zamku. Kazimierz Tetmajer w przedmowie do „Wyboru poezji” Laskowskiego napisał: „U niego Polska jest ponad wszystkim”. Albo z końca tej listy, już właściwie dwudziestowieczny, Jan Gajzler (1891—1940) z Suchedniowa, o którym nadzwyczaj pochlebnie wyrażał się Żeromski. Ten — jak o nim się mówi — lirnik świętokrzyski pozostaje w oczekiwaniu na swoje „pięć minut”. To świętynie, że przed laty ukazało się bibliofilskie wydanie kilku jego wierszy „Cudne świętokrzyskie” przygotowane przez kustosz Kazimierę Zapalową z Muzeum Lat Szkolnych Żeromskiego, ale Gajzler winien otrzymać swoją książkę...

Albo malarze: z połowy XIX wieku Jan Rybkowski i Tadeusz Rybkowski (1848—1926) czy z Nowej Słupi, zmarły w wieku 24 lat, Edward Gładysław (ur. 1888), uczeń Axentowicza, zdobywca trzech medali za obrazy, otrzymał stypendium im. Simmlera. Zapoznani...

A ludzie nauki? Jan Brożek z Kurzelowa (1585—1652) niekiedy bywa przywoływany. Ale nie bardzo wiadomo, kto zacz. No, uczony. Owszem, i to wielkiego formatu. Głównie matematyk, który walenie przyczynił się do przeszczerpienia na grunt polski geometrii praktycznej, logarytmów i ułamków dziesiętnych. Wybitny profesor Akademii Krakowskiej, jej rektor. A jemu współczesny Gabriel Rzączyński to kto? Ze jezuita, to jeszcze nie zasługa, że autor pierwszego polskiego dzieła z zakresu historii naturalnej — to należy mu pamiętać.

I tak przemierzając stulecia natknijemy się na dziesiątki nazwisk, o których głucho.

Pośród nich będzie niemałe grono naukowców i badaczy, którzy swoją działalnością przyczynili się do poznania regionu, i ci powinni być nam najbliżsi, bo nam otworzyli oczy pokazując, czym jest ta ziemia, podjęli pionierskie zadanie jej opisanie, stworzyli podwaliny dla rozwoju różnych dziedzin wiedzy. I tu chyba na pierwszym miejscu wypada wymienić geologów, z racji przede wszystkim rangi ich dorobku. Chętnie przy takich okazjach wymieniam się nazwisko Staszica. Słusznie, acz nie on jeden przemierzał region z młotkiem opukując skały. I nie — jednak! — Staszic pozostawił z naukowego punktu widzenia najcenniejszą i najbardziej wartościową spuściznę. Ale dopiero za Staszicem wymieniam się — a nie pod adresem geologów te słowa ani znawców regionu — ustawia się czy to Jana Czarnockiego czy Henryka Samsonowicza. A któż potrafi wymienić choćby nazwisko Jerzego Bogumiła Puscha (1790—1846)? Ten niemiecki uczo-ny (stąd w encyklopedii występuje pod imionami Georg Gottlieb) przybył do Polski mając 26 lat. Pozostawił po sobie prace o podstawowym znaczeniu dla geologii i paleontologii ziemi polskich, był profesorem w Szkole Akademicko-Górniczej w Kielcach. Pusch bywa obecny co najwyżej na specjalistycznych sympozjach i sesjach, w edukacji regionalnej całkowicie nieobecny. Nie widać i nie słysząc, aby były jakieś próby podtrzymania wiedzy o Aleksandrze Patkowskim, ideologu regionalizmu, działaczu, całkowite zapomnienie pokrywa postać ks. Władysława Siarkowskiego, etnografa, współpracownika Kolberga, kto słyszał o Józefie Gackim, dziewiętnastowiecznym autorze po dziś dzień najdoskonalszej monografii Świętego Krzyża. Skoro już jesteśmy przy nazwiskach zasłużonych w dziedzinie gromadzenia wiedzy o regionie, to kilka słów należy poświęcić interesującej

postaci ks. Jana Wiśniewskiego (1876—1943) Pochodził spod Ilży, pracował w Kozienicach, Cerekwi, Ćmielowie, proboszcz parafii Borkowice koło Przysuchy, w okolicznych wsiach przyczynił się do założenia kilku szkół. Działacz Towarzystwa Krajoznawczego w Radomiu, a nade wszystko — autor regionalny, mający w dorobku trzynaście tomów opisujących dekanaty. Lecz były to opisy daleko wykraczające poza główny temat — kościół. Autor przytacza bowiem mnóstwo dokumentów, których już dzisiaj nie ma, i żaden szanujący się autor pracy naukowej o regionie nie może zapomnieć o dziełach księdza Wiśniewskiego.

I jeszcze inni, którzy tu działali lub pochodzili stąd. Maksymilian Strasz (1804 — ok. 1870). Inżynier, geometra, pracował nad uszlachetnieniem Kamiennej. Inżynier gubernialny, rozbudowywał Kielce. Zajmował się optyką. Ale dziełem jego życia pozostają zasługi w dziedzinie fotografii. Autor pierwszego w Polsce artykułu na jej temat, pierwszego w Polsce zdjęcia i pierwszego w Polsce podręcznika fotografii. Józef Gołuchowski (1797—1858), filozof, jeden z twórców tzw. filozofii narodowej. Urodzony w Galicji, profesor w Wilnie, które opuszcza po kilku latach i osiada w Garbaju na Sandomierszczyźnie. Tam powstało jego główne dzieło „Dumania nad najwyższym zagadnieniem człowieka...” Pochowany w Mominie. Augustyn Frączkiewicz (ur. w 1798 roku w Kurozwękach), jeden z najwybitniejszych matematyków polskich XIX w., kielczanie, bracia Karol (ur. 1878) i Edward (1885) Taylorowie. Pierwszy — profesor, wybitny specjalista w zakresie silników spalinowych i lotniczych, drugi — jeden z najwybitniejszych ekonomistów, członek Rady Gospodarczej za ministra Grabskiego, znawca spółdzielczości i zagadnień inflacyjnych, Bolesław Markow-

ski (1862—1936) z Zawichostu, prawnik. Po studiach zamieszkał w Kielcach, gdzie założył Szkołę Handlową. Przewodniczący Rady Miejskiej, krótko — wiceprezydent Kielc. Członek Rady Stanu, wiceminister Skarbu, współpracownik ministra Grabskiego, prorektor i rektor Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, założyciel Koła Kielczan w Warszawie, potem w Kielcach, prezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, autor licznych prac naukowych, w Kielcach urodził się prof. Kazimierz Tymieniecki (1887—1965) wybitny historyk mediewista oraz inni, wielu innych.

Nie mają szczęścia.

Ale bodaj najbardziej upośledzeni pozostają ludzie, którzy zapisali się zasługami w dziedzinie gospodarczej. Tych już zupełnie nie pamiętamy (no, chyba że znów delegujemy Staszica, którego nieodmiennie idealizujemy; co jego zasługą — to zasługą, co jednak pomyłką, nie należy ukrywać), albo pamiętać nie chcemy (może im punktów za pochodzenie zabrakło, bo pośród nich Małachowscy oraz inni z herbowymi pałkami; jak zrobił coś pożytecznego — to z niesłusznych pozycji, jak nie zrobił — wiadomo, błękitna krew, ciemiężyciel), albo też pamiętać nie umiemy, bo najłatwiej przychodzi nam pamiętać bohaterów zbrojnego czynu, trudniej — bohaterów pracy. Co nam taki Jacek Jezierski (1722—1803) choć to postać przez historię uznana za ciekawszą w czasach stanisławowskich, działacz polityczny i mówca, wielce zasłużony dla rozwoju polskiego przemysłu żelaznego, zagorzały rzecznik — jak dzisiaj się mówi — inicjatyw antyimportowych. Założył zakład w Małeńcu, a za zasługi w dziedzinie rozwoju przemysłu otrzymał od króla tytuł kasztelana, albo Antoni Klimkiewicz (1800—1870), inżynier, konstruktor, budowniczy wie-

lu pieców hutniczych w Staropolskim Okręgu Przemysłowym; pierwsze piece pudlingowe w Królestwie Polskim są jego dziełem. Jakże wielu było im podobnych...

Po co, w jakim celu, padło tyle nazwisk? Przytaczając je nie miałem zamiaru tworzyć jakiejś nowej regionalnej hierarchii wielkich. Są to postaci przywołane przypadkowo, bez żadnej szczególnej zasady organizującej ich obecność. Tedy na zarzut, dlaczego ci, a nie inni, nie mam żadnej odpowiedzi. I nie chciałbym, aby przywołani tu po nazwisku, mieli tylko takie pytanie prowokować. Przywołani zostali bowiem na świadków niemocy. Niemocy sprawiającej, że z dziesiątkami i setkami innych, bardziej zasłużonych, a czasem mniej znakomitych, pozostają w ukryciu, w ciemności, poza zasięgiem, poza dostępem pragnących dysponować uporządkowaną wiedzą o ludziach stąd, o nich właśnie. Przywołani, by kluc w oczy.

Kogo?

Cały regionalny społeczny ruch naukowy, że się nie potrafi skoordynować i zmobilizować do wspólnego dzieła, a najgłówniej naszą humanistykę, zaprzatniętą doktoratami i habilitacjami oraz produkowaniem niskonakładowych rozpraw obchodzących skromne grono ludzi z branży, i nie stanowiących oferty dla człowieka o aspiracjach, by nie czuć się ślepym i głuchym na obszarze dziejów regionu. Popularne, ale kompetentne dzieło o charakterze regionalnego słownika biograficznego, na jaki potrafiły zdobyć się inne regiony (na przykład Wielkopolska) pozostaje od lat w sferze najważniejszych postulatów stawianych piśmiennictwu o regionie, i w sferze marzeń.

Ale by jednak oddać sprawiedliwość faktom — słowo o usiłowaniu.

Pierwsza, skonkretyzowana inicjatywa w kierunku przygotowania takiego dzieła, pojawiła się na gruncie Towarzystwa Przyjaciół Górnicztwa, Hutnictwa i Przemysłu Staropolskiego. W 1979 r. doc. dr hab. Zbigniew Wójcik z Muzeum Ziemi PAN zaproponował, obejmujący ok. stu hasel, konspekt kieleckiego słownika biograficznego z zakresu nauki i techniki. Nawet niektóre artykuły napisano, ale wszystko jakby się rozmyło. Następna inicjatywa wiąże się z powołaniem przy Kieleckim Towarzystwie Naukowym — Pracowni Badań Regionalnych. Był rok 1982. Dorobek i dalsze losy tej pracowni, która zgłosiła w zeszłym roku, nie są bliżej znane, a miała sporządzać m.in. bibliografię regionalną i hasła do słownika biograficznego. Wygląda na to, że środowisko naukowe nie odczuwa braku tej pracowni. I jeszcze jedna inicjatywa. Przed siedmioma laty egzekutywa KW PZPR w Kielcach podjęła uchwałę o konieczności utworzenia Zakładu, a następnie Instytutu Badań Regionalnych w Wyższej Szkole Pedagogicznej, który miałby robić i bibliografię, i słownik biograficzny, ale — jak się zdaje — cały czas się organizuje.

Tychczas — odnotujmy — pewne sukcesy święci inicjatywa prywatna. Całkiem prywatnie opracował Czesław Erber bibliografię kielecczynny 1945—1975, gdzie znajdują się odniesienia do licznych postaci. Dr Jerzy Szczepański z „pekazetów” zrobił słownik architektów i urbanistów (wyjdzie nakładem TPGHiPS), a docent Jan Paclawski zajmuje się kolejnymi tomami „Pisarzy regionu świętokrzyskiego”. Tyle dobrego, i dobrze, że choć tyle.

Ktoś się powinien rumienić. Czy ktoś się zarumieniał?...

JERZY DANIEL

Trudno wskazać na twórcę idei muzealnictwa skansenowskiego, choć jest ono dyscypliną młodą. W końcu XVIII i połowie XIX w. pojawiły się w Europie inicjatywy, z którymi możemy wiązać genezę muzeów na wolnym powietrzu.

# SKANSENY

Jacek Pieczonka

W 1790 r. Szwajcar Charles de Bonstetten po obejrzeniu figur w strojach regionalnych, ustawionych w parku królewskim w Tredensberg w Danii, prze-myśliwał projekt „...stworzenia angielskiego ogrodu na brzegu morza, gdzie stałyby chaty Lapończyków, chaty Ferroe, ...chaty Islandczyków, ze sprzętami domowymi i rolnymi wszystkich narodowości...”. J.C. Dahl w 1841 r. kupił średniowieczny kościół z okolic jeziora Wang w Norwegii i podarował go Fryderykowi IV, do jego parku w Poczdamie (obecnie kościół znajduje się w Bierutowicach na Dolnym Śląsku). Pewien ziemianin norweski w 1867 r. przeniósł do swej posiadłości pod Oslo stary dom chłopski, a król Oskar II w latach 1884–88 przeniósł na półwysp Bygdoy (Oslo) średniowieczny kościół i kilka budynków z różnych regionów. Obiekty te stały się zalążkiem norweskiego muzeum na wolnym powietrzu, otwartego dla publiczności dzięki staraniom H.J. Aalla w 1902 r. W Holandii w latach 1883–1903 stało 20 domów z różnych części Indonezji — pozostałość po międzynarodowej wystawie kolonialnej. Polską cegiełką jest projekt profesora Ignacego Baranowskiego i przemysłowca Adolfa Scholtza z 1888 r., aby obok powstałego Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem postawić chatę góralską z całkowitym urządzeniem wnętrza.

Za ojca skansenologii uważa się Szweda Artura Hazeliusa, który w 1885 r. zakupił swój pierwszy obiekt. W 1891 r. został oficjalnie otwarty „Skansen” na wyspie Djurgården w Sztokholmie. W tym samym roku w Lund otwarto muzeum na wolnym powietrzu przy istniejącym już od 1882 r. „Kulturhistoriske museet”. Rok 1901 to otwarcie skansenów w Jonköping i Lyngby, a w 1903 r. w Borås, 1904 r. w Herning, 1905 w Julita.

Te poczynania miały związek z rozwojem nauk etnologicznych w XIX wieku, a także urządzanymi w tym czasie dużymi wystawami krajowymi i międzynarodowymi, na których prezentowano wytwory kultury i sztuki ludowej. Najpoważniejsze czasopisma etnologiczno-antropologiczne: „Zeitschrift fuer Ethnologie” i „Journal of the Royal Anthropological Institute” przynosiły naukowo opracowany materiał dotyczący kultur ludowych. Tak więc zamiysł „Skansenu” Artura Hazeliusa oparty był o naukowe podstawy. Główną zasadą powstawania muzeów

na wolnym powietrzu była celowa translokacja obiektów.

Pierwsze skanseny miały także charakter działalności narodowościowo-politycznej. Muzea norweskie to wykazanie niezależności kulturowej Norwegów w stosunku do Szwedów. Muzea w Kemio i w Turku to wynik działalności szwedzkojęzycznej ludności zamieszkującej w Finlandii. Założone w 1909 r. muzeum w Helsinkach — „Seurasaari” — było manifestacją Finów w stosunku do Szwedów i Rosji. Powstające w tym czasie skanseny we Wdzydżach Kiszewskich to dowód funkcjonowania narodu polskiego w Prusach.

W początku XX w. myśl skansenowska rozwijała się bardzo szybko. Szwecja, Norwegia, Dania, Holandia, Niemcy to kraje przodujące (np. w Norwegii w 1914 r. było 16 skansenów). Łącznie do I wojny światowej powstały w Europie 44 placówki.

W latach międzywojennych poszerza się krąg państw, w których powstają tego typu muzea: Austria, Węgry, Rumunia, Czechosłowacja, Łotwa, Wielka Brytania. Myśl skansenowska ewoluuje w



stronę tworzenia muzeów in situ. W 1937 r. w Turku (Finlandia) na muzeum skansenowskie zamieniono całe osiedle rzemieślnicze na wzgórzu klasztornym, pozostawiając tam pracujących wytwórców. Podobnie postąpiono w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, zamieniając miasteczko Willamsburg na osiedle muzealne.

W rozwoju muzeów skansenowskich po II wojnie światowej można wydzielić dwa etapy: do 1958 r. gdy powstają skanseny małe będące kontynuacją lat międzywojennych, i od 1958 r. gdy sprawa muzealnictwa skansenowskiego znalazła się na forum UNESCO i tym samym zyskała akceptację na szczeblach państwowych.

Obecnie największą placówką skansenowską na świecie, liczącą ponad 300 obiektów, jest „Muzeul Satului” w Bukareszcie. Najwięcej skansenów ma Finlandia (ok. 400), Norwegia (ponad 100), Szwecja (tylko w środkowo-wschodnich prowincjach Jam-

tland i Harjedalen znajdują się 44 skanseny, a cały kraj pokryty jest siecią większych — 30 — i mniejszych skansenów o nieustalonej liczbie). Szacuje się, że na terenie Europy znajduje się ponad 600 dużych i małych skansenów, brak natomiast danych o kilkuset in situ chronionych zespołach na Półwyspie Skandynawskim.

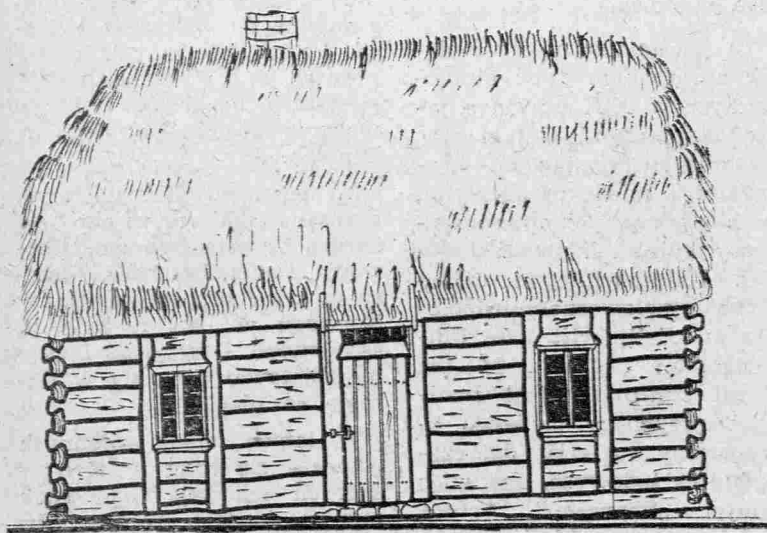
Pierwsze muzeum na wolnym powietrzu w Polsce powstało w 1906 r. we Wdzydziejach Kiszewskich. Ale już sto lat wcześniej wypowiedziano się na temat konieczności ochrony zabytków kultury ludowej. W 1802 r. Hugo Kołłątaj stwierdził: „Trzeba nam poznać obyczaje pospółstwa we wszystkich prowincjach, województwach i powiatach. Osobliwie zaś: różnice w mowie, ubiorze, (...), mieszkaniach, sposobie budowania, gatunkach sprzętów do wygod w życiu, pasterstwie i rolnictwie, rękodzielach”.

Wiek XIX przyniósł odpowiedź na te postulaty, co potwierdza działalność wielu regionalistów i badaczy z Oskarem Kolbergiem na czele, a

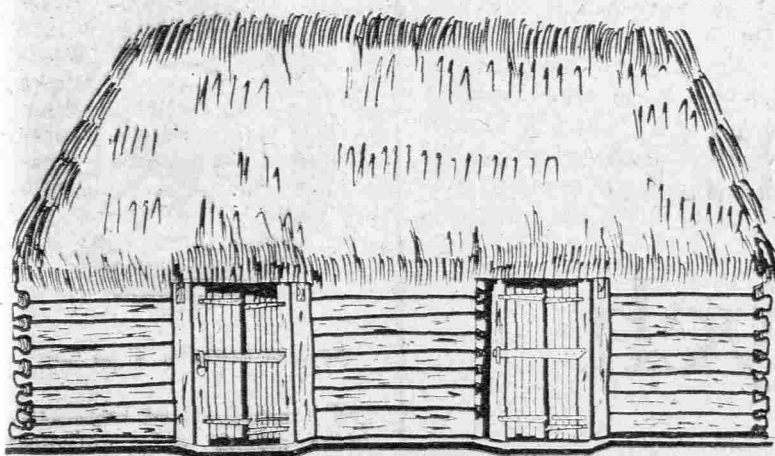
także inicjatywy akcentujące wzrost zainteresowania materialną kulturą ludową. W 1873 r. zorganizowano w Wiedniu. Powszechną Wystawę Światową, na której polskie muzeum we Lwowie zaprezentowało oryginalną chatę małopolską z kompletnym wyposażeniem. Z 1888 r. pochodzi wspomniany już zamysł prof. I. Baranowskiego i A. Scholtza. We Lwowie w 1894 r. urządzono tzw. Powszechną Wystawę Jubileuszową, na której pokazano sześć autentycznych chałup z Polski południowej. Wreszcie Wdzydze Kiszewskie, gdzie w 1906 r. powstaje Muzeum Kaszubskie założone przez Teodorę i Izidora Gulgowskich, którzy ze swoich środków kupili checz (dom kaszubski) i zgromadzili ludowe sprzęty i narzędzia. Kim byli twórcy pierwszego polskiego skansenu?

Izydor Gulgowski był nauczycielem i badaczem kultury ludowej Kaszub. Jego żona, Teodora, z wykształcenia malarka, uczyła miejscowe dziewczęta haftu i stworzyła oryginalne wzornictwo, stosowane do dnia dzisiejszego. Śmierć I. Gulgowskiego w 1925 r. nie pozwoliła urzeczywistnić planów rozbudowy skansenu, który zresztą w 1932 r. uległ zagładzie podczas pożaru wsi. Po kilku latach T. Gulgowska odtworzyła skansen. W 1950 r. placówka została upaństwowiona i stanowiła oddział Muzeum Pomorskiego w Gdańsku. W 1970 roku powołano Kaszubski Park Etnograficzny.

Kolejne muzeum zostało założone również przez pasjonatów, badaczy kultury ludowej Kurpiów, małżeństwo Zofię i Adama Chętników, którzy w 1927 r. doprowadzili do otwarcia Skansenu Kurpiowskiego w Nowogrodzie Łomżyńskim. W czasie II wojny światowej muzeum zostało całkowicie zniszczone. Reaktywowano je w 1970 r. jako pierwszy skansen w Polsce Ludowej.



Rekonstrukcja drewnianej chaty „wojrowskiej” ze wsi Alojzów, 1902 roku.



Region Puszczy Kozienickiej. Trójjazdowa stodoła zamożnego gospodarstwa kmieckiego ze wsi Makosy Nowe z II poł. XIX w.

W latach następnych powstało w Polsce wiele placówek skansenowskich, w tym Muzeum Wsi Radomskiej w Radomiu, któremu pragnę poświęcić trochę uwagi.

Radomski skansen został powołany w 1976 r. Na obszarze 54 ha planuje się ustawić około 250 obiektów (dotychczas przeniesiono ich tutaj 40). Ze względu na układ geograficzny i podział kulturowy ziemi radomskiej, wyodrębniono cztery regiony, które dostarczą tej placówce charakterystycznych zespołów zagrodowych:

1. Region Puszczy Kozienickiej z Zapilczem — 62 obiekty,
2. Region Pogórza Ilżeckiego — 38 obiektów,
3. Region polno-równinny — 27 obiektów,
4. Region Wiślano-Nadpilicki — 17 obiektów.

Złożoność kulturowego obrazu regionu zdecydowała o uwzględnieniu następujących zespołów architektonicznych:

1. wiejskie budownictwo przemysłowe — 40 obiektów,
2. zespół architektury małomiasteczkowej — 23 obiektów,

3. zespół ogólny — 23 obiekty.

Nadto, zważywszy na bartnicze tradycje regionu, zaplanowano również skansen obrazujący historyczny rozwój pasiecznictwa (200 obiektów).

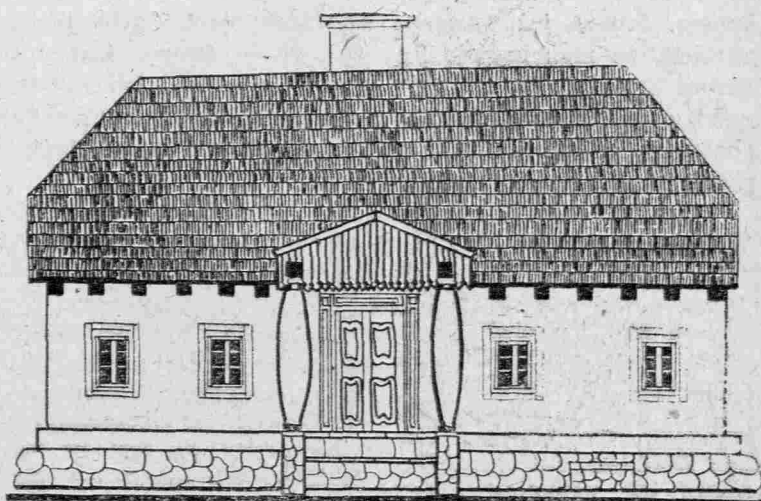
Radomski skansen realizowany jest w układzie zagrodowym: dom mieszkalny z towarzyszącymi budynkami gospodarczymi. Każdy region etnograficzno-kulturowy będzie reprezentowany przez kilka zagrod różnicowanych histo-

rycznie oraz ukazujących podziały społeczno-gospodarcze ludności.

Muzeum Wsi Radomskiej jako skansen regionalny stawia sobie za zadanie kompleksowe ukazanie tradycyjnej kultury wiejskiej. Już sama konfiguracja terenu, na którym został usytuowany, odzwierciedla ukształtowanie geograficzne regionu, w związku z czym lokalizacja zagród nie będzie zbyt odległa od wyglądu miejsca, gdzie znajdowały się pierwotnie. Układ typu „parkowego” ze swobodnie rozmieszczonymi obiektami — zagrodami wśród wysokopiennej zieleni i wykorzystanie terenów przyległych do zagrody na odtworzenie małych kultur uprawowych, tworzy ekspozycję w pełni demonstrowującą walory poszczególnych obiektów i całej zagrody.

Radomskie, jedno z młodszych w kraju muzeum na wolnym powietrzu, dostąpiło zaszczytu goszczenia Europejskiej Konferencji Skansenologów, którzy obradować tu będą w końcu sierpnia br.

JACEK PIECZONKA



Zespół dworski. Dworek drewniano-lacecki z kolumnowym gankiem ze wsi Pieczyńska z II poł. XVIII w.

## Z DZIEJÓW 4 PP LEGIONÓW

# Żołnierze z tamtych lat

Longin Kaczanowski

Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych spotykali się w Warszawie, w siedzibie Zarządu Głównego ZBoWiD, najczęściej w ostatnich dniach czerwca, w kolejne rocznice pułkowego święta. Zaproszenia na te spotkania niezmiennie podpisywał najstarszy z nich rangą oficer, generał broni Zygmunt Berling. Jednak już wówczas zauważali sami, trochę melancholijnie, że nieubłagane i to w szybkim tempie, kurczy się dawna „rodzina czwartacka”. Dzisiaj pozostała ich zaledwie garstka, oficerów i podoficerów zawodowych 4 pułku piechoty Legionów, w latach międzywojennych mocno wrośniętego w pejzaż miasta nad Silnicą, czyli Kielc.

## Wojenne początki

Pułk odwoływał się do tradycji 4 pułku piechoty liniowej z czasów powstania listopadowego, sławnych „czwartaków”, którzy bili się pod Wawrem, Grochowem, Dębem Wielkim, Ostrołęką. Wywodził się natomiast z szeregów II Brygady Legionów i został zorganizowany wiosną 1915 r. w Rozprzysko koło Piotrkowa.

Pierwszym jego dowódcą był podpułkownik Bolesław Roja.

Generalną „próbę krwi i żelaza” przeszli „czwartacy” (ci z I wojny oczywiście) pod Jastkowem na Lubelszczyźnie. Znalazłszy się tam 30 lipca 1915 r. wieczorem — pisze w swojej opisie jednostki — pułk stanął przed silnie obronną pozycją rosyjską. Nieprzyja-



Odnaka pułkowa 4 pp Leg.

ciel umocnił się na wsgórzach, które można było atakować i zdobywać jedynie od czoła. Zadanie to otrzymały pułki legionowe. 4 pułk walcząc po raz pierwszy ramię w ramię z oddziałami I Brygady Legionów Polskich wykazał niezwykle męstwo i upór”.

We wrześniu tegoż roku pułk przeszedł na Wołyń, w rejon miejscowości Koszyszcze, gdzie mocno chwiał się front austriacki. W czasie prowadzonych tam walk często dochodziło do starć na bagnety, zaś na kartach wojennej historii pułku pojawiały się nowe nazwy oznaczające miejsca stoczonych bitew i potyczek: Kostiuchówka, Kukla, Kamieniucha, Czartoryska Góra, Optowa, Rudka Miryńska. Były to krwawe i zacięte boje.

Pisał po latach uczestnik tych walk, poeta i żołnierz 4 pułku Władysław Broniewski, że „Coraz ciężiej było nieść głowę na plecach i coraz czarniej było w lasach na Wołyniu.” Dodając dalej, z goryczą, w tym samym wierszu:

„Roztapiała się młodość  
brudnym, mokrym śniegiem,  
dlawili dni pochmurne,  
jak robactwo żarły,  
i już mi chłodne były  
jesienne noclegi,  
i z umarłymi byłem sam  
na pół umarty...”



Miał 4 pułk szczęście do poetów i pisarzy, czy nawet szerzej, twórców kultury. Oprócz Władysława Broniewskiego żołnierzami 4 pułku byli: dyrygent Stanisław Bugajski, malarz Leon Czechowicz, generał i pisarz Andrzej Galica, poeta Feliks Gwiżdż, Władysław Orkan, poeta i literat rodem z Kielc — Józef Relidziński, poeta Andrzej Józef Teslar, pisarz Jerzy Żuławski, autor znanej powieści „Na srebrnym globie”. To oczywiście przypadek, że tylu ludzi pióra znalazło się w jednym pułku, ale obecność twórców w wojsku świadczy o ich niepodległościowych tęsknotach.

O wojennym bilansie pułku świadczą odznaczenia, jakimi uhonorowano jego oficerów i żołnierzy. Pułk otrzymał 187 Krzyży Virtuti Militari V klasy. Krzyże Walecznych otrzymało 202 oficerów, w tym 36 czterokrotnie, 36 trzykrotnie, 57 dwukrotnie. Szeregowych 727, w tym 37 czterokrotnie, 76 trzykrotnie i 145 dwukrotnie.

### Żołnierskie opowieści

Gdy w listopadzie 1918 r. „wybuchła Polska”, niezwłocznie przystąpiono do tworzenia

regularnych oddziałów wojskowych. Jedną z pierwszych jednostek odrodzonego Wojska Polskiego był właśnie 4 pułk piechoty, w którego szeregach znalazło się wielu legionowych żołnierzy. Prawie z marszu kierowano pułkowe bataliony do walk w okolicach Lwowa i na Śląsku Cieszyńskim. Wiosną 1919 r. jednostka otrzymała ostateczną nazwę: 4 pułk piechoty Legionów. Pokojową siedzibą pułku zostało miasto Kielce.

3 lutego 1919 r., zgodnie z otrzymanym powołaniem, służbę w pułku rozpoczął Stanisław Reczyński. Nie przypuszczał wówczas ten młody, mężczyzna pochodzący z Samsonowa, że zwiąże się z kieleckim pułkiem na długie lata i zostanie jego etatowym żołnierzem. Jest najstarszym żyjącym podoficerem zawodowym 4 pułku piechoty Legionów. Pomimo słusznego wieku — o nienagannej, wojskowej sylwetce i doskonałej pamięci.

— Otrzymałem skierowanie do batalionu zapasowego — wspomina Stanisław Reczyński — który miał siedzibę



Stanisław Reczyński w mundurze legionisty; rok 1919.

przy ul. Prostej, w budynku obecnego szpitala położniczego. Koszar na Bukówce jeszcze wówczas nie było i poszczególne oddziały stacjonowały w różnych punktach miasta. M.in. przy ul. Staszica ulokowana była kompania telegraficzna, wojsko zajmowało też budynek gorzelni przy dzisiejszej ulicy Mielczarskiego. Dowództwo pułku mieściło się przy ul. Żeromskiego.

— Po zakończeniu służby czynnej, postanowiłem pozostać w pułku na zawodowego żołnierza. Wojsko pociągnęło mnie... Po ukończeniu szkoły podoficerskiej i awansie na kaprała, zostałem instruktorem w kompanii szkolnej. Potrzeby były wielkie, dlatego dość szybko z nauczanego zostałem nauczającym. W 1920 r., podczas wojny polsko-radzieckiej, batalion nasz wysłano w kierunku frontu w celu uzupełnienia walczących tam innych oddziałów naszego pułku. Ostatecznie do tych uzupełnień nie doszło i po postoju w Białej Podlaskiej batalion nasz powrócił do Kielc.

W połowie lat dwudziestych, gdy pułk na dobre zadomowił się w Kielcach, zaczęto my-



Wznowili do tradycji sławnych „czwartaków” z powstania listopadowego. Trzeci od lewej por. Franciszek Salamoński.

śleć o budowie wojskowych koszar z prawdziwego zdarzenia. W końcu zdecydowano, że zostaną one wzniesione na Bukówce. Dość szybko wybudowano pierwsze koszary w 1930 r., a pięć lat później następne. Był kompleks nowoczesnych, funkcjonalnych budynków, spełniających wszelkie wymogi piechotnych koszar. W pobliżu wzniesiono bloki mieszkalne dla kadry podoficerskiej i oficerskiej. W jednym z nich zamieszkał Stanisław Reczyński z rodziną, a także Daniel Miarka, który zdecydował się na zawodową służbę w pułku.

We wspomnieniach adiutanta pułku, kapitańa Tadeusza Boguszewskiego znalazłem taki krótki akapit: „Nowy szef plutonu łączności, sierżant Miarka, piękny mężczyzna, świetny dowódca i fachowiec. Bardzo wyróżnił się w kampanii wrześniowej. Został odznaczony, awansował do stopnia st. sierżanta i był przedstawiony do awansu na chorążego”.

Pomimo przekroczonej osiemdziesiątki, Daniel Miarka nosi się prosto, jak świeca. Rzut oka na jego sylwetkę

wystarcza, by stwierdzić, że jest po dobrej żołnierskiej szkole.

Służbę w 4 pułku rozpoczął, co dokładnie pamięta, 13 października 1926 r. Po ukończeniu szkoły podoficerskiej w macierzystej jednostce doskonalił swoje umiejętności i podnosił kwalifikacje na kursie radiotelegraficznym w Przemyślu, a następnie w Centrum Wyszkożenia Piechoty w Grudziądzu i Centrum Wyszkożenia Łączności w Żegrzu. W 1938 r. został szefem plutonu łączności w 4 pp Legionów. Z kolejnych dowódców pułku, za jego służby, a więc pułkowników Stefana Jazdyńskiego, Bolesława Ostrowskiego, Zygmunta Berlinga i Bronisława Lalicińskiego, najwyżej ceni podpułkownika Zygmunta Berlinga.

— Pułkownikowi Berlingowi — powiada pan Miarka — pułk zawdzięczał bardzo wiele. Przede wszystkim umocnienie wśród kadry i żołnierzy dyscypliny, obowiązkowości, dokładności i sumienności. Pułkownik potrafił być w koszarach o godzinie 5 rano i 10 wieczorem. Pamiętam jak

sprawdzał moje umiejętności. Gdy zameldowałem się, że jestem szefem łączności, rozkazał mi w ciągu 15 minut, i to przy zgaszonym świetle, przygotować sprawę kancelaryjną w związku z pozorowanym wyjazdem na front. Wyszedł z kancelarii i po kwadransie sprawdzał wykazy sprzętu, broni, żołnierzy itp. Ponieważ wszystko było w porządku, pułkownik na zakończenie tej inspekcji dodał: „Widzę, że się nadajecie do służby”. Jak żaden z dowódców wiedział wszystko o swoich oficerach i podoficerach. Miał sławną „czarną książeczkę”, w której notował swoje uwagi i spostrzeżenia odnośnie każdego zawodowego żołnierza 4 pułku. Niejednemu wydawał się ostrym służbiście, ale tak naprawdę to on podniósł 4 pułk na bardzo wysoki poziom wyszkolenia.

W latach trzydziestych zaczęli przybywać do pułku żołnierze, dla których I wojna światowa była już historią. Uczyli się i dorastali w niepodległej Polsce. Kierowano do pułku oficerów, młodych podporuczników, którzy po uzyskaniu świadectw dojrzałości kończyli trzyletnie szkoły oficerskie. Jednym z nich był absolwent szkoły w Ostrowi Mazowieckiej, podporucznik Franciszek Salamoński, promowany w 1935 r. przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Początkowo służył w II batalionie, a następnie otrzymał przydział do pułkowej szkoły podchorążych. Jego uczniami byli m.in. sławni w latach wojny partyzanci, Tadeusz Maj „Łokietek” i Marian Sołtysiak „Barabasz”. 19 marca Franciszek Salamoński został promowany na porucznika i zgodnie z planem miał zmienić por. Leona Pajęka na Westerplatte. Do zmiany tej, jak wiadomo, nie doszło, gdyż wkrótce wybuchła wojna.



W koszarach na Bukówce — rok 1935

Choć fakt jest powszechnie znany, to jednak przypomnijmy, że właśnie z 4 pułku piechoty z Kielc pochodziła znaczna część załogi na Westerplatte.

### Związani z miastem

Przez lata stacjonowania w mieście i na Bukówce pułk wrósł w kielecki krajobraz, cieszył się sympatią mieszkańców, a jej wyrazem był m.in. sztandar, ufundowany „swoim” żołnierzom. W Księdze Pamiątkowej pułku zapisano wówczas uroczyste słowa: „W dniu 8 lipca 1923 roku ludność miasta Kielce oraz powiatów kieleckiego, jędrzejowskiego, włoszczowskiego i opatowskiego, uzyskawszy zezwolenie Prezydenta Najjaśniejszej Rzeczypospolitej oraz Ministra Spraw Wojskowych, ofiaruje, mającemu stałą siedzibę w Kielcach, 4 pułkowi piechoty Legionów, spadkobiercy i pomnożycielowi rycerskiej chwały 4 pułku piechoty polskiej 1830 roku, sztandar pułkowy, jako widomy znak gorącego uznania dla tych, co w jego szeregach w wojnie przelali krew swą za wolność Narodu Polskiego, oraz jako wyraz serdecznego hołdu i głębokiej czci dla bohaterów, co spośród jego szeregów legli śmiercią walecznych na wszystkich polach i rubieżach Polski”.

Wybiegając myślą naprzód należy powiedzieć, że żołnierze 4 pułku nie splamili honoru swojego sztandaru w czasie polskiej wojny obronnej 1930 r. Sztandar uczestniczył w bojach na ziemi łódzkiej i nie dostał się w ręce wroga. Po zakończeniu działań wojennych był przechowywany w podziemiach katedry św. Jana w Warszawie. Uległ zniszczeniu wraz z katedrą w czasie powstania warszawskiego.



Sierżant Daniel Miarka i jego żołnierze. Obok jego syn, Tadeusz, dzisiaj znany działacz PTTK w Kielcach. Zdjęcie wykonane na Bukówce w końcu lat trzydziestych.

Repr. MAREK LOPIEŃSKI

— Zawsze cieszyliśmy się sympatią kielczan — powiedział pan Reczyński, a wojsko organizowało zabawy dla nich, festyny, zawody konne i strzeleckie, które mogli obserwować cywile. Międzykompanijne zawody strzeleckie miały swoich przysięgłych kibiców, a także były tematem rysunków naszego karykaturzysty kapitana Kisielewskiego.

Oglądam rysunkową kartę pocztową, zachowaną przez Pana Reczyńskiego, na której powszechnie lubiany major Mizgalewicz strzela z ciężkiego karabinu maszynowego do... kuropatw, zaś nieznany sierżant wali z moździerza do... zająca.

Koncertowała dla mieszkańców, w sezonie letnim bawiąca najczęściej w uzdrowiskowym parku w Busku, pułkowa orkiestra, której kapelmistrzem był porucznik Firek, a szefem sierżant Matloch. Stałą siedzibę mieli muzycy w budynku, który stał w miejscu wznoszonego obecnie teatru. Tam również urzędował lekarz pułku, major dr Bularski, rozstrzelany w latach okupacji pod Zgórskiem.

### Za 5 dwunastą...

W lipcu 1939 r. żołnierze 4 pułku pomaszzerowali do obozu letniego w Niwkach Dalezych, gdzie miały być przeprowadzone ćwiczenia polowe, ostre strzelanie bojowe i rzuty ostrymi granatami.

Były to ostatnie ćwiczenia pułku...

Około 20 sierpnia pułk został zaalarmowany i tego samego dnia musiał powrócić do Kielc. Czekala go mobilizacja i wyjazd na front w kierunku Łodzi.

Gdy 1 września 1939 r. padły na Westerplatte pierwsze niemieckie strzały, odpowiedzieli na nie obrońcy tej placówki, żołnierze 4 pułku piechoty Legionów.

Niebawem 4 pułk wyruszył z Kielc na wrześniowy front, by swój szlak bojowy zapisać na ziemi łódzkiej i walczyć dalej, prawie do końca dramatycznej kampanii, w modlińskiej twierdzy. A także w drugim rzucie 4 pułku (jako 154 op) bronić swojej ziemi kieleckiej. □

LONGIN KACZANOWSKI



## Zbigniew Leoniak

### Pieśń hulaki

Byłem ja kiedyś mocarzem byłem dawno  
 jak zwierz w ciele zdrewniałym do skoku  
 Gniofłem zebrami świat co mnie łaknął  
 niby tęsknoty w swojskiej grudzie ziemi  
 Nieraz chcąc w żalu by mnie grom  
 rozplątał  
 przy sośnie żelaznej co bór rzuciła  
 By Pan oddech rozdarł w końcach palców  
 aż rubin-pak w ustach śmierć zatoczy

Tak w ziołach leżałem gdy pierzchli  
 kompani  
 szronem opatrzyć zestarzałe głowy  
 Na śmierć leżałem rozmodlony śmiechem  
 a niebo szumną chwiejbą się bełtało  
 Wielkim ptakiem z mosiężnym Słońcem  
 lęku  
 w piersi gdy niżej gniazdo kruche

Jak sobiepan powsinoga i cień  
 mgłą opity ległem na śmierć wesoło  
 Zbiegły w tróję lat chrystusowych  
 widziadła mych panien w tańcu bitki  
 i swary

Noc starości udanie powłócząc nogami  
 chłodem gwiazd modro tuliła  
 I Pan zagadał bym ciszej grzeszył  
 idąc donikąd przed swymi plecami

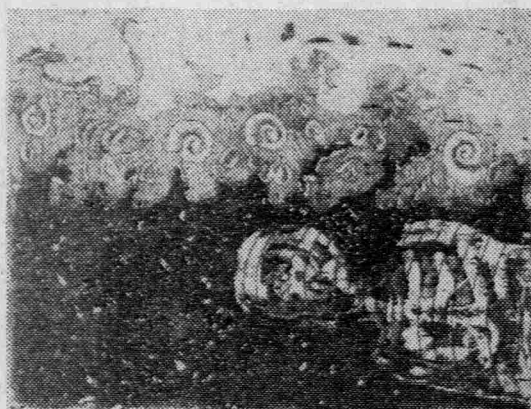
Leżałem umrzeć jak przystało w butach  
 Pan pykał fajkę bo stary już jest  
 I nie chcąc gadać z młokosem  
 figlarnie zerknął znad szczytu

### Pieśń wieczorna

Nad polami kawki gawrony jak  
 zwęglone liście  
 kolebią larum wieczora i dzwon  
 kościółka  
 Chrząst kos wsiąka zmierzchem  
 w zielne łąki  
 jak uznojone cienie w płótna Kotsisa

W obejściach śnieżnie się pieni  
 zaduchem mleka  
 i niebo wysklepia w ogromną kaplicę  
 W niej Frasobliwy lka na lipowej kłodzie  
 z twarzą w szorstkich bierwionach dłoni  
 Łysnęła gwiazda dymem srebrząc kominy  
 stało się cicho jak w polnym kamieniu  
 W trawach grajek łakomie skrzypki  
 odłożył  
 czekając na wiew ciepłej strawy

Z drewnianych oczu Chrystusa lzy  
 cicho płyną  
 gdy dzień za pagór zachodzi rdzawo  
 I matek-sędziwych kruszyny dobrej  
 wiary  
 dziękują za ogień w niewoli za letnią  
 sytość



Marek Wawro — akwaforta

**WIADOMOŚĆ PIERWSZA:** W jednej z wiejskich studni w Zakrzewie pod Radomiem zatopiony został — w bliżej nie określonym czasie i nie do końca jasnych okolicznościach — stary dzwon. Prawdopodobnie strażacki, choć niekoniecznie. Pewne jest, że zatopili go strażacy i to przed wieloma laty. Jedni mówią, że przed pierwszą wojną światową, a drudzy — że przed drugą.

(...Zatopiony dzwon to brzmi jak legenda, owiana mgłą tajemnicy, prowokująca do poszukiwań. Stary dzwon może być zabytkiem o wartości mierzonej nie tylko ceną złomu metali kolorowych. Krótko mówiąc — kto wie, czy w studni nie znajduje się skarb. Obojętne, czy ukryty został przed pierwszą czy przed drugą wojną — tkwi tam od dawna. I nikt nie próbował go wydostać?)

**WIADOMOŚĆ DRUGA:** Próbowano. Dwukrotnie. Bez skutku.

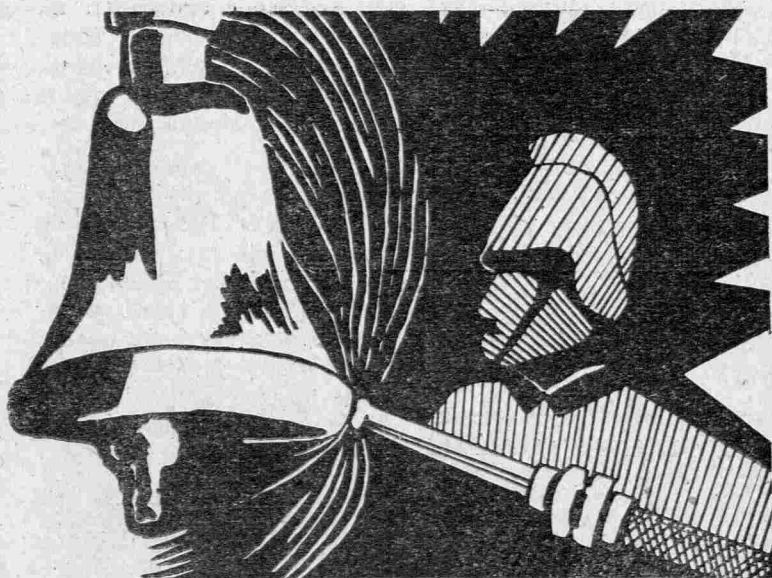
(...Historia zaczyna być coraz ciekawsza).

**WIADOMOŚĆ TRZECIA:** Zakrzew posiada kronikę straży pożarnej, jest więc szansa, by tam znaleźć jakiś trop. Napisała tę kronikę i nadal ją prowadzi lekarka stomatolog z miejscowego ośrodka zdrowia, Halina Merwa.

(...Pani doktor zainteresowana wiejską strażą pożarną? Autorka strażackiej kroniki? Sporo niespodzianek w tym Zakrzewie).

Bez większego trudu udało się ustalić, że studnia należy do Harenzów.

Nie żyje stary Harenza. Jego syn, Jan, wie z opowieści, że studnia służyła za skrytkę. Strażacy ukryli w niej dzwon przed Niemcami. Zatopili, żeby okupant nie zabrał do przetopienia. Naczelnikiem



Rys. Jan Hajnych

# Zatopiony dzwon

Julita Twardowska

straży był wtedy Stanisław Faliński.

Nie żyje już Stanisław Faliński. Jego syn, Zygmunt, uściśla czas akcji: „Cała ta historia wydarzyła się albo przed II wojną, albo w ostatnich miesiącach 1939 roku, bo mój ojciec pełnił funkcję na-

czelnika straży w latach 1928 — 1939, a wiem na pewno, że to on — z pomocą jakiegoś drugiego strażaka — ukrył dzwon. Wybrano studnię Harenzów, bo znajdowała się daleko od zabudowań z tyłu, natomiast z frontu była druga, jakby specjalnie dla zmylenia przeciwnika”.

Co to był za dzwon: jak wyglądał, kiedy (mniej więcej) mógł być wykonany, skąd został zdjęty — na te pytania ani Jan Harenza, ani Zygmunt Faliński nie potrafia dać odpowiedzi.

Szczątkowych informacji udzieli Jan Kępka (78 lat, sołtys Zakrzewa od 40 lat z małą przerwą, strażak od 50 lat bez przerwy): „To była kościelna sygnaturka. Pewnie stara, bo i kościół też stary”.

Jan Kępka uczestniczył w pierwszej próbie wydobywania dzwonu ze studni:

— Trudno mi dokładnie czas podać, ale gdzieś tak w połowie lat pięćdziesiątych. Faliński Stacho znów objął funkcję naczelnika straży, zatrąbił na zbiórkę, zeszliśmy się, wzięliśmy motopompę, tyczki, drągi i dawaj, do studni Harenzów. Jak motopompa wodę wybrała, ja zszedłem na dół. Macałem drągiem, ale nie się nie odzywało poza kamieniami. Bardzo szybko napływała woda i trzeba było uciekać.

— A kiedy była druga próba?

— Niedawno. To już Janek Harenza na własną rękę gdzieś załatwił motopompę, bardziej wydajną, wybrali wodę, doszli do szlamu i też nic. Tam, gdzie kończą się dreny, z boku jest przepaść i dzwon mógł dalej w głąb powędrować.

— A ja słyszałam, że został wydobyty...

— Eee, chyba nie, bo przecie my by wiedzieli.

— — — — —

W kronice straży pożarnej nie ma wzmianki o dzwonie, co wyraźnie zasmuca autorkę dzieła.

— Tajemnicza opowieść, warta wyjaśnienia. Nie wiem, dlaczego moi informatorzy ja

pominęli, choć opowiadali mi tyle różnych barwnych historii i stare zdjęcia odszukali, przynieśli, by znalazły się w kronice na pamiątkę.

Siedzimy w gabinecie dentystycznym gminnego ośrodka zdrowia. Cisza i spokój, pacjentów nie ma, bo awaria elektryczna, więc można porozmawiać, choć sceneria raczej nie sprzyja konwersacji. Kiedyś do tego gabinetu wpadł jeden z byłych naczelników gminy. Służbowo, jako władza, z uwagami.

— Niech pan siądzie na fotelu i otworzy usta. Zauważyłam, że dwójka za bardzo wystaje, trzeba ją przypiloować — stwierdziła lekarka.

Zanim oniemiały delikwent zdążył wyartykułować sprzeciw, zawarczała maszyna. Wyrwać się — śmiesznie, lepiej już przesiedzieć. Przesiedział więc naczelnik na fotelu, a potem miał już tylko jedno marzenie: jak najszybciej opuścić ten pokój. Wieść nie się, że szukał w Radomiu specjalisty, który podważyłby celowość zabiegu i fachowość miejscowej stomatolożki. Nie znalazł. Dwójka była rzeczywiście do spilowania.

Halina Merwa mieszka na stałe w Radomiu, pracuje na stałe na wsi. Zawsze chciała mieszkać na wsi, ale kiedy kończyła studia, łatwiej było o dach nad głową w Radomiu niż w Zakrzewie czy Przytyku. Najpierw więc dojeżdżała do pracy w Przytyku, a teraz — codziennie od dwudziestu dwu lat — dojeżdża do Zakrzewa. Nie własnym samochodem; bo go nie ma. Nie dorobiła się na medycynie ani samochodu, ani willi. Największym dorobkiem jej życia są — jak mówi — dzieci i wnuki, wszystkie na medal. Nie prowadzi praktyki prywatnej, bo szkoda jej czasu. Lubi swój zawód — mówi — ale nie można całe życie pa-

trzeć w zęby, to byłoby jednak za nudne.

Kronikę miejscowej straży pożarnej zaczęła pisać niedawno. Bodźcem był turniej między Zakrzewem a Przytykiem. Kiedyś obie gminy rywalizowały w konkursie czystości, cztery lata temu zorganizowano turniej obejmujący różne dyscypliny, z recytacjami, pokazem mody, hafciarstwem, fryzjerstwem, popisami krasomównymi.

Zakrzew zwyciężył, choć to nie on jurorów obiadem podejmował. „Po prostu wygrał lepszy” — mówi z uśmiechem pani Halina. I do dziś promienieje wspominając, jak Tadzio Kępka, miejscowy satyryk amator stanął w szranki z profesorem liceum w Przytyku. Każdy miał przedstawić swoją gminę, profesor zrobił to w języku Kochanowskiego, ambitnie, ale nudnawo, a Tadzio — po swojemu i nie tylko swoich ujął, ale też jurorów. Zdolny chłopak, żadne dożynki bez niego się nie obejdą, rymuje „od ręki” i niezłą łatkę potrafi przypiąć. Syn sołtysa. Też strażak. W dodatku społeczny i zawodowy. Jakby mało mu było ochotniczej straży w Zakrzewie, której jest naczelnikiem od czterech lat, znalazł sobie zatrudnienie akurat w zakładowej straży pożarnej „Waltera”.

Jednym z punktów turnieju miał być pokaz umiejętności strażackich. „Warto by z tej okazji napisać kronikę miejscowej straży, póki jeszcze żyją ludzie pamiętający początki” — pomyślała Halina Merwa i zabrała się do roboty. Na turniej kronika była gotowa. Tekst, zdjęcia, wszystko. Od zarania do terazniejszości.

Dwa lata później w remizie odbyła się piękna uroczystość, na której pani doktor udekorowana została złotym medalem „Za zasługi dla po-



zarnictwa". Chyba niewielu lekarzy stomatologów w kraju miało szanse kiedykolwiek zasłużyć się dla pożarnictwa i na medal zasłużyć.

— Mój ojciec był strażakiem — mówi pani Halina. — Zakładał straż w Zwoleniu.

Z kroniki:

*„Ochotnicza Straż Pożarna w Zakrzewie została założona przez syna właściciela majątku, Tadeusza Herniczka, po pierwszym spaleniu wsi we wrześniu 1917 roku. Do straży zgłosiło się 24 ochotników. Pierwszym prezesem Zarządu był Herniczek Jan, właściciel majątku”.*

— We dworze się wszystko zawiązało — wspominają najstarsi strażacy — tam była baza. Po pierwsze dwór miał konie i to sporo, bo każdy fernal czwórka się opiekował, a fernali było czternastu. Po drugie — dwór miał swojego stelmacha, kowala, więc i o sprzęt było łatwiej, choćby taki wóz rekwizytowy.

— Pierwszy strażacki wóz rekwizytowy, z kołami na żelaznych obręczach, zaprzęgany był w cztery konie. Strażacy stali na stopniach, po pięciu — sześciu z każdej strony i trzymali się drążków. Było trzech trębaczy, którzy w czasie jazdy do pożaru cały czas trąbili, żeby drogę mieć wolną. Wyposażenie uzupełniały: beczka z wodą (drążkami się tę wodę pompowało) sikawka, drabina Szczerbowskiego długości około sześciu metrów, bosaki, łopaty, widły.

— A swoją drogą ciekawe, skąd wzięła się nazwa Bosak dla rzeczki przez Zakrzew płynącej? Dziś to już strumyk właściwie, ale strażacką nazwę posiada.

Wóz rekwizytowy z pierwszych lat zachował się tylko

na zdjęciu w kronice. „Antyk”, który znajduje się obecnie w Gulinku, ma już powojenną metrykę. Wygląda jak muzealny zabytek; ale jeszcze od czasu do czasu służy na specjalne okazje. Taką specjalną okazją jest strażacki pogrzeb.

— Już dziesięć razy zaprzęgaliśmy konie do wozu rekwizytowego, na ostatnią drogę kolegi strażaka — mówi sołtys Kępka.

Z kroniki:

*„W roku 1920 miejscowa ludność ufundowała sztandar. Przedstawia on po jednej stronie św. Floriana, patrona straży pożarnej, a po drugiej — godło Polski”.*

Był sztandar, była satysfakcja, ale zaczęły się też kłopoty. Najpierw miał je dziedzic, gdy przyszło spłacać zaciągnięte wcześniej od Żydów pożyczki.

— Dwór poszedł na zlikwidowanie, rozparcelował się jeszcze przed wojną. Najpierw dziedzic zaczął ziemię wyprzedawać. To była dobra ziemia, więc i cena niemała, tysiąc trzysta złotych za morgę. Metr żyta kosztował wtedy dziesięć złotych, a metr pszenicy osiemnaście. Nasza ziemia jest właśnie z tej parcelacji. Trzy tysiące złotych zaliczki dał mój teść za dziesięć mórg, a ja spłaciłem resztę — mówi sołtys.

— Już wydawało się, że straż pójdzie w rozsypkę, konie nie było, dziedzic do sprzedawcy dworu się szykował, więc wóz już stał pod gołym niebem, ale Herniczek miał gest. Dał nam plac. Tam, gdzie teraz są sklepy GS, była pierwsza remiza. Sami zrobiliśmy fundamenty, kto miał las — dostarczał pniaki, drewno, belki... I powstała remiza. Nadal nie było koni, więc postanowiliśmy brać je od gospodarzy. Już nie cztery, ale dwa zaprzęgało się do wozu, płaciliśmy za kilome-

try i nawet chętnych nie brakowało. A pieniądze mieliśmy przede wszystkim z loterii fantowych. Na Jana, na Pańskie Przemienienie wychodzili ludzie z kościoła i od razu mogli iść na loterię. Weześniej chodziliśmy po chatupach zbierać fanty. Czasem się mnóstwo tego uzbierało: kury, szklanki, gęsi, dzbany, kieliszki... Kto się lepiej miał, ten więcej dał. Dawali zawsze. Strażacy mieli we wsi poważanie.

— Mieli też przywileje. Strażak nie musiał iść na szarwark czyli przymusową, bezpłatną robotę, wystarczało, że konie dał, konie za niego odrabiali. Zenił się strażak albo dziecko chrzcili, ksiądz mniejszą opłatę pobierał, zwłaszcza odkał został prezesem Zarządu, po dziedzicu Herniczku.

Z kroniki:

*„Rok 1957 był rokiem ciężkim dla straży pożarnej. 20 lipca wybucha pierwszy pożar u Baćmagi Jana. Od tej pory wybuchło jeszcze 18 pożarów, ostatni 6 lutego 1958 roku. Wień niemal spaliła się doszczętnie. Straż pożarna pełniła dyżury dzień i noc”.*

O tych podpaleniach z lat pięćdziesiątych ludzie we wsi nie bardzo chcą mówić. Było — minęło. Winny poniósł karę. Kto to był? Apo, taki jeden, no, miejscowy, organista. W napadzie szału? Nie, skądże, wcale nie zbzikował, tylko wykonywał zleconą robotę, za którą dostał pieniądze. Od kogo? Jakby to powiedzieć... Historia sięga korzeniami w lata okupacji, partyzantka wydała wyrok, zastrzelono człowieka. Przeszło dziesięć lat później pojawił się w Zakrzewie przyjaciel tamtego zastrzelonego i postanowił dokonać aktu zemsty. Nie tylko na byłych partyzantach i ich rodzinach, ale na całej wsi, bez wyjątku. Znalazł chętnego, właśnie organistę, który za pieniądze — ludzie mówią, że dolary — zgodził się spalić doszczętnie cały Zakrzew.

Nie zdążył. Złapano go na gorącym uczynku, został aresztowany, odsiedział w więzieniu wyrok.

Ze strzępków niechętnie udzielanych informacji scaliłam opowieść. Ile w niej prawdy, ile legendy — ktoś wie. Ale pointa radosna: po pożarach Zakrzew odbudował się ładniejszy niż był.

Z kroniki:

„Strażacy, ludzie pełni zapалу i energii, postanowili wybudować remizę w czynie społecznym. Wzięli się do pracy i w roku 1968, na 50-lecie Straży Pożarnej, następuje otwarcie nowej remizy”.

I wtedy też otrzymali nowy sztandar.

— Mamą dwa, bo stary też się zachował. Niewiele rzeczy sprzed wojny doczekało dnia dzisiejszego, może jeszcze dawne hełmy, które strażacy mają na wyposażeniu. Ojciec może pokazać. Ten hełm kiedyś mu życie uratował. Teraz są hełmy innego typu, ze skórzanym okapnikiem, nie wiem, czy bezpieczniejsze — mówi Tadeusz Kępka.

I zapewniam, że ludzie ze straży nie odchodzą, bo tu w Zakrzewie tradycje są silne. Z dziadka na ojca, z ojca na syna.

— Jest nas w tej chwili trzydziestu sześciu. Większość to synowie dawnych strażaków. Powtarzają się nazwiska: Szczepanik, Faliński, Maj, Kępka. I młodych dużo. Ja nie wiem, co przyciąga. Może jak mnie: szansa sprawdzenia swojej sprawności fizycznej, refleksu, odwagi. Może chęć bycia razem. W Zakrzewie nie ma gminnego ośrodka kultury, i knajpy też nie ma. Jest tylko Klub Rolnika z niewielką salką — lokator remizy, któremu, podobnie jak pocście, już dawno skończyła się umowa na zajmowane pomieszczenia. Ciasno więc w remizie, bo zimą jeszcze młodzież szkolna przychodzi na zajęcia wfi, jako że sali gimnastycznej tu nie ma.

Liczy naczelnik straży, Tadeusz Kępka, na dobudowę piętrowej. Już wtedy byłoby inaczej. Ciasnota to jedyny kłopot. Bo wyposażenie jest nowoczesne: dwa wozy bojowe, poza wodno — pianowym jest jeszcze proszkowy, specjalistyczny, jakby trzeba było jakieś papiery ratować, na przykład w banku albo w bibliotece.

Ale najczęściej palą się lasy, stodoły. I co dziwne — wcale nie tak rzadko straty byłyby mniejsze, gdyby ludność nie czekała biernie na rycerzy świętego Floriana. „Wy jesteście od tego, bo wam płacą”. „Przecież nie dostajemy nawet złotówki, bo straż jest ochotnicza”. „E, tam, jak zwał tak zwał, ale już tam za darmo się nie narażacie”. Już w anegdotę przeszła opowieść jak to podczas pożaru w Natolinie strażacy uwijali się z gaszeniem, a obok, spokojnie paląc papierosa, przyglądał się tym wszystkim czynnościom jeden z mieszkańców. „Chłopie, pomógłbyś”, zawołał jakiś strażak, zdenerwowany, że tamten zachowuje się jak widz w kinie, na co usłyszał „Przecież nie mogę iść, bo jestem z ogniem”.

— Myśmy się już i do takich rzeczy przyzwyczaili. Najważniejsze, że straż ma autorytet. Na wsi strażacy stanowili zawsze grupę ludzi, na którą można było liczyć w różnych okolicznościach. Przecież nie tylko gasili pożary. Żadna impreza kulturalna nie obeszła się bez strażaków, żaden czyn społeczny, choć teraz i z imprezami, i czynami troszkę słabiej...

Wyjeżdżam z Zakrzewa a sołtys Kępka na pożegnanie:

— Tego zatopionego dzwono nie da się wydobyć. Tak sobie myślę, że ani Janek, ani nikt inny go nie wydostanie. Przepadło i już.

JULITA TIWARDOWSKA

L AT 22, 180 cm wzrostu, 70 kg wagi, kawaler, wykształcenie średnie, ma mieszkanie, zarabia 15 tys. złotych, pali, małomówny, zaradny, uczuciowy, opiekuńczy, szatyn spod znaku Lwa, dąży do dostatniego, wygodnego życia, pozna panią do lat 30.”

— Ostatecznie może być starsza — mówi energiczna, siwa kobieta. — Wiesio nie na metrykę leci. Te młode dzisiaj nic nie umieją. Ani ugotować, ani sprzątnąć, ani zaoszczędzić. Ja mam księgowość nie tylko w głowie, w małym palcu ją mam. I dlatego można było Wiesiowi kupić mieszkanie, urządzić, wyposażyć. Byle komu tego nie oddamy.

Wiesio siedzi w wygodnym fotelu, przysłuchuje się pilnie. Milczy. Matka wymienia jednym tchem zalety jedynaka. W skrócie: geniusz i święty zarazem.

— Nie wierzy pan w poznanie wartościowej dziewczyny inaczej, niż za pośrednictwem biura matrymonialnego? — pytam.

— Znam wiele miłych dziewczyn. — Wiesio rozgląda się czujnie, czy jego wyznanie nie dojdzie aby do uszu matki. — Znam i podobają mi się. Ale przecież żadna z nich nie chce rozmawiać z matką o przepisach na oszczędne ciasto, o potrzebie wstrzemięźliwości seksualnej, czy bezsenności hodowania kwiatów na działce, bo to się nie kalkuluje. Tymczasem rodzina postawiła warunek: albo się szybko ożenię ze skromną, gospodarną kobietą, albo przeprowadzę się z tego mieszkania do rodziców i będzie je można wynająć komuś z dużym zyskiem. Wolę zostać.

— Tak naprawdę nie bawi mnie podrywanie dziewczyn, a te w moim wieku tylko na to czekają. Jestem zmęczony po pracy, najchętniej posłuchałbym muzyki, poglądał telewizję w domu. Zresztą — gdzie iść? Co robić w kawiarni?

# Ludzie żyją parami

Ladwiga Karolczak

ni, czy restauracji, jeśli się nie pije i skąd na to brać pieniądze? Koledzy żyją podobnie jak ja. Samemu nudno.

\* \* \*

Pani Marta jest roztrzęsiona. Rozgląda się niespokojnie po mieszkaniu, więc i ja mimowolnie podążam za jej wzrokiem. Podziwiam gustowne urządzenie wnętrza i nie-naganny porządek. Wszystko starannie dobrane. Fabuła obrazka podkreśla celowość umieszczenia go nad empirowym stolikiem, przez jedwabne zasłony słońce przesiewa się miękko chyba tylko po to, żeby świetlistą plamą rozjażyć lustrzany parkiet. Wszędzie mnóstwo kwiatów w wazonach z laki.

— Wczoraj były moje urodziny — mówi pani Marta. — Kolejne samotne urodziny — akcentuje. — Najchętniej skreśliłabym ten dzień z kalendarza. I Wigilie. I Sylwestra. I 8 Marca.

Rozwiodła się przed dziesięcioma laty i teraz żałuje.

Drażniła ją wciąż taka sama codzienność, w której on czuł się jak ryba w wodzie, złościło ją, że nie podziela jej pasji dla sztuki. Ale jego bezgraniczne przywiązanie do domu i dziecka, także delikatność uczuć docenia dopiero dziś. Tyle że męża już nie ma. Wyproszony — poszedł sobie i mieszka z jakimś wstrętnym babskiem, a ona sama. Nawet mu kiedyś przyszyła złośliwie na ten temat, robiąc nadzieję powrotu, ale uśmiechnął się, odmówił twierdząc, że wreszcie wie, co to jest prawdziwy dom. Bardzo ją to dotknęło, no bo co można zarzucić jej domowi?

— Macierzyństwo nie może być jedynym celem życia, a praca zawodowa jedynym źródłem satysfakcji — twierdzi pani Marta. — Zresztą w pracy od lat jestem dobra, bardzo dobra. Wszyscy się przyzwyczaili, nie zwracają na mnie uwagi. Syn ma swoją szkołę, swoje judo i swoich kolegów. Coraz częściej prześiaduje u ojca, bo mają swoje „męskie sprawy”. A ta ba-

ba powoli zdobywa jego sympatię.

Pani Marta płacze.

— Ja nie jestem taka zła. To nerwy. Zazdroszczę koleżankom ich kłopotów z mężami, brakuje czasu na wizyty u fryzjera, pośpiechu, żeby zdążyć z obiadem. Jestem pusta, jestem chora. Ile jeszcze bibelotów zmieści się na komodzie? A jak je kupię, to co dalej?

Pani Marta skończyła właśnie czterdzieści trzy lata. Ma wyższe wykształcenie i ogromnie tego żałuje, bo — mówi — ono rozbudziło jej potrzeby intelektualne, ambicje i — w ogóle — ustawiło poziom, a mężczyźni wcale takich mądrych i ambitnych nie chcą. Ona wie dobrze, jest w biurze matrymonialnym od kilku lat. To znaczy w kilku biurach.

— Poznałam wielu mężczyzn. Różnych. Zapraszam ich do domu. Podoba się. Robię kolację. Zjadają. Potem łóżko. Różnie bywa. Ale to jest konieczne, żeby się sprawdzić. Nie zgodzę się — odejdzie człowiek. Więc się zgadzam. W końcu lepsze to, niż samotność. Wysyłam oferty, odpowiadam na listy, a moje koleżanki zapracowane w domach—twierdząch dziwią się:



Rys. Władysław Popielarczyk



czego ona chce od życia, przecież tak jej dobrze.

Jest ślusarzem. Wyjeżdża do pracy o świcie, wraca wieczorem. Czasem wypije „flaszkę” z kolegami, czasem zerznie w telewizor i tyle ma z życia. Mówi o sobie: jestem „szara masa”, bo gdzieś usłyszał takie określenie i bardzo mu się spodobało. Chce poznać dziewczynę, bo wszyscy mówią, że we dwoje łatwiej, tylko gdzie? W kawiarni siedzą wrzaskliwe siksy; piją, palą, szczerzą zęby do każdego, to on takiej za żonę nie chce. Ma trzydzieści siedem lat i — powiada — pora najwyższa pomyśleć o dzieciach i domu. W biurze matrymonialnym jest od roku i bardzo sobie to chwali.

— Przynajmniej raz na jakiś czas człowiek ubierze się porządnie, bo idzie na wieczorek towarzyski albo do kobiety. One są różne. Najgorsze to bogate. Myślą, że mają Bóg wie co. Ale kolację zawsze przygotowują, nocleg też. Opowiadamy sobie o naszym życiu i mnie od tych opowieści robi się coraz smutniej, tak że czasem nawet na seks tracę ochotę. Ale na sercu robi się łżej, nie powiem. Czy z tego kiedy będzie ślub — nie wiem. W każdym razie łatwiej mi żyć. Zapiszę się jeszcze na rok.

Pan Kazik jest czterdziestoletnim wdowcem. Ma duże mieszkanie w dużym mieście, zarabia dwadzieścia pięć tysięcy złotych i prosi o taki anons w biuletynie biura matrymonialnego: „Samotna Ryba z córeczką Rakiem poszukują mamy i żony.” Ale żadna z samotnych kobiet nie chce być mamą, robić koło cudzego dziecka. Przynajmniej on takiej nie spotkał, a spiesz mu się bardzo, bo córka rośnie i potrzebuje damskiej reki. Zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem sam tą ner-

wowością nie psuje interesu. Bo złudzeń nie ma: mariaż przez biuro matrymonialne to przecież interes. Nie ma czasu na zaloty, romanse, trzeba się „sprawdzić” i podjąć decyzję. Myślał nad tym i z tych jego wyjazdów „za żoną” — a jeździ na oferty z całej Polski — wyszło mu, że w tych nerwach, w tej niecierpliwości, wciąż się mijają potrzeby poznawanych kobiet z jego nadziejami. Jak on o sensie istnienia, to one szykują łóżko. Jak on o łóżku, to one o dobroci serca. I tak już ponad rok. Odkrył, że choć spał z wieloma — nie zna żadnej. A teraz nawet na seks stracił ochotę i boi się, że to dodatkowo obniży jego szanse.

Żał mu dziecka. Od śmierci żony, to znaczy od pięciu lat, nie ruszył w domu niczego, nie pomalował nawet. Znajomi, po pierwszym zrywieniu serdeczności, rychło ostygli. Mają swoje dzieci i swoje sprawy. Rodzina na drugim krańcu kraju. On nie mówi, że kobiety nie mają serca, nie podobnego. Tylko to ciągle mijanie się; pustka.

Anna od kilku lat należy do biura. Ma doskonałą orientację w sytuacji samotnych kobiet w Kielcach. Jest ich podobno bardzo dużo. W większości urządzone, „zabrane” — jak same mówią o sobie dla podkreślenia własnej wartości. Szukają partnerów. Tymczasem mężczyźni, wedle rozeznania Anny, nie cenią partnerstwa. Ani intelektu. Jeśli dziewczyna nie wyjdzie za mąż na studiach — później ma niewielkie szanse. Chyba że wymusi ślub ciążą, albo podstępem. Ile warte takie małżeństwo? — zastanawia się młoda kobieta.

Anna od sześciu lat jest po studiach. Właściwie ma wszystko, co trzeba. Mówi, że całe życie walczyła o siebie, modelowała swój charakter i — powiada — ta walka skazała ją na samotność. Łatwiej tym,

które się podporządkowują. W biurze matrymonialnym poznała wielu mężczyzn. Wylicza:

— Jeden był chyba niezbyt zrównoważony psychicznie, w dodatku miał zahamowania seksualne. Drugi — odczytany, sam pisał wiersze, ale jak powiedział, że ma impulsywny charakter pomyślałam sobie, że pewnie zechce mi ciosać kołki na głowie i zrezygnowałam. Inny nawet nie zatelefonował po wystawnej kolacji. Jeszcze inny okazał się erotomanem. Jedno mieli wspólne: mówili tylko o sobie i w ogóle nie byli ciekawi co ja myślę, co czuję. Moim zdaniem bardziej szukali gosposi i powiernicy, niż żony. Chociażby ten, a nie jest wyjątkiem: „Chciałbym, żeby moja partnerka była spokojna, gospodarna, domatorka, o dobrym sercu. Wzrost, kolor włosów i wykształcenie obojętne. Ważne, żeby była dobra i uczciwa i by nie była nachalna w sprawach seksualnych”.

— Dlaczego należę do biura? Sama nie wiem. Właściwie na nic nie liczę, ale też nie potrafię pogodzić się z samotnością. Jestem z natury towarzyska. Tyle że w towarzystwie nie trzeba samotnych kobiet. Ludzie żyją parami. Szczególnie teraz, kiedy nie ma miłych kawiarni, restauracji i klubów. Czekam i szukam.

Pani Maria napisała o sobie tak: „Jestem wdową, mam 60 lat i coraz mi ciężiej samej. Moim życzeniem byłoby poznać Pana samotnego, o dobrym sercu, szczerego i uczciwego, bez naloqu, picia alkoholu. Mam własny dom, 3 pokoje z kuchnią i ogródkiem i dwóch żonatych synów, którzy nie mieszkają ze mną. Pragnę te parę chwil, które mi zostały, upiększyć uczuciem i przyjaźnią”.

Pani Maria kocha synów i nawet chciała im pomagać, ale

nie wychodziło, bo oni mają swoje życie i ono jej się nie bardzo podoba. Czasem zwracała uwagę i byli z tego same strapienia. Młodzi wszystko inaczej pojmują. Więc się odizolowała. Poznała kiedyś w sklepie starszego człowieka, który prosto z kolejki szedł do punktu totalizatora, by — jak mówił — wygrać milion. Chodziła z nim, bo to był bardzo miły pan, aż wreszcie zapytała, po co mu ten milion. Wtedy jej odpowiedział, że jest wdowcem, dręczy go samotność, a jak będzie miał pieniądze, to sobie kupi przywiązanie syna.

— Ja też opowiedziałam o sobie — wspomina pani Maria. — Powiedziałam, że samotnemu i staremu źle, bo nikomu nie jest potrzebny, a on na to, że starzy nie powinni zaczynać życia od początku, bo to jest rodzaj oszustwa. Że trzeba się razem zestarzeć, żeby nie widzieć brzydoty swoich zmarszczek, nie irytować się świeżo odkrytym chrapaniem, niedołęstwem ruchów właściwie obcego człowieka. Może on miał rację, ale mnie tak trudno. Nie ma już ławeczek przed domami, nie można przysiąść, porozmawiać. Każdy się spieszy, nie ma wspólnych spraw. W biurze matrymonialnym poznałam kilka kobiet takich jak ja. Wymieniliśmy przepisy na powidła i ściegi na drutach. Zamierzamy się spotkać u którejś w domu.

\* \* \*

Kieleckie Biuro Matrymonialne „Nadzieja” jest jedną z osiemdziesięciu tego typu instytucji w Polsce i trzeba powiedzieć, że wciąż ich przybywa. Z pomocą jego właścicielki, Marii Trzebońskiej, można wyluskać pewne prawidłowości rządzące światem samotnych kobiet i samotnych mężczyzn. Choćby tę, że nikt nie chce żenić się z nauczycielkami, bo „zawód przeradza się w charakter”, stąd w domu nieustanne dyrygowanie, pouczenie, strofo-

wanie podniesionym głosem. Podobną opinię mają pielęgniarki. I jednych, i drugich jest wśród klientek biura najczęściej.

Można powiedzieć, że kobiety wolą mężczyzn z wyższym wykształceniem, którzy z pośrednictwa matrymonialnego raczej nie korzystają, a znów ci bez dyplomów uczelni poszukują dziewczyn gospodarnych, spokojnych i — Boże broń — nie przemądrzałych. Że coraz częściej w ankietowej rubryce „moje wady” pojawia się wpis „ustępliwość, nieśmiałość”, a „moje zalety” wypełnia stwierdzenie „oszczędność”. Zaś zainteresowania wykraczają niewiele dalej poza działkę, gry liczbowe i oglądanie telewizji. Że — poza tym — ludzie nie potrafią bawić się bez wódki, nie znają form towarzyskich ułatwiających życie i trzeba im to taktownie podpowiadać, nauczyć, pomóc. Unikają wycieczek i leśnych ognisk, bo wtedy jest „luz”, a „na luzie” może z człowieka wyjść coś takiego, co raczej chciałby ukryć. Inaczej rzecz się ma z danciem. W przebraniu wizytowym, w krawacie, łatwiej się upilnować, zagrać rolę, jaką się obmyśliło.

Można się dowiedzieć, że pierwszy lęk przed samotnością drąży kobiety mniej więcej trzydziestoletnie. Wszyscy przy różnych okazjach życzą męża, zaczyna się o tym myśleć coraz bardziej gorączkowo. Drugi — koło czterdziestki. Na ogół po klęsce pierwszego małżeństwa i odchowaniu dzieci do wieku, w którym wchodzi we własne towarzystwo. Trzeci wreszcie — na emeryturze. Lęk przed samotną starością, kiedy przyskają iluzje życia życiem dorosłego syna czy córki, bo to jest całkiem inne życie.

Takich ogólnych uwag Maria ma dużo i sprowadza je do jeszcze ogólniejszej. Ludzie sami siebie nie znają, nie mają pojęcia, jak ich widzą inni. Więc ona robi różne psy-

chozabawy i okazuje się, że po obydwu stronach: tych, co się starają „opowiedzieć” wybranego człowieka i w nim samym wywołuje to miłe zaskoczenie. Oto nareszcie ktoś mówi o mnie, nie jestem anonimowy, jeden z wielu. Oto nareszcie mówię o kimś, nie rozgrzebuje w nieskończoność własnych spraw.

— Poznanie, niekoniecznie perspektywa małżeństwa przyciąga ludzi do biura — mówi Maria. — Niektórzy należą już sześć lat i tworzą całkiem silną grupę. Czekają na wieczorki taneczne, upominają się o spotkania towarzyskie. Pozostają ze sobą w kontaktach także poza biurem. Nie czują się samotni, choć nie wyszli za mąż, nie poženili się.

Małżeństwa oczywiście są, nawet sporo. Zawierają je ci, którzy się szybko decydują. Na pierwszym spotkaniu zrzucają z siebie cały ciężar samotności i wykazują odwagę do życia we dwoje. Mimo przykrych doświadczeń z przeszłości, mimo obserwacji nieudanych związków, które często już po dwu latach nie są niewne wzajemnej bliskości. Zespoalają się przy domowych rachunkach, przeżyłcia szlachetniejszej natury są zdecydowanie „osobne”.

Maria stara się pomóc klientom. Informuje o terminach przyjęć seksuologa, podaje adresy lecznic, w których można pozbyć się rażących wad powierzchowności. Organizuje wieczory poezji i dyskusje „o życiu”. Z udziałem filozofa na przykład. Ludzie chcą poznać swoją samotność i tajemnice uczuć. Fenomen brania od innych pod warunkiem dawania. Ale tego właśnie trzeba się pilnie uczyć i parę lekcji nie wystarczy. Gdyby było łatwo — Maria Trzebońska dawno zwinęłaby swój kramik, a ludzie żyłymi w szczęśliwych parach, bo przecież bardzo tego chcą.

□

# ŚWIADEK JEHOWY

Zbigniew Nosal

**N**IE przyszedł, aby mnie nawrócić. Przyszedł, bo zaginął jego syn i przez wspólnych znajomych dogadaliśmy się, że mnie ta sprawa interesuje. Zajmowałem się już ludźmi, którzy znikali i nie wracali nigdy do swoich domów, nigdy też nie odnajdywano ich, jeżeli sami nie pojawiali się nagle lub jeżeli nie znajdowano ich ciał w najmniej spodziewanych okolicznościach. To interesujące, dowiedzieć się, dlaczego ludzie odchodzą, dlaczego znikają.

Przyszedł więc i powiedział, że nie ma nic przeciwko jakiemukolwiek artykułowi, sprawa może być bowiem lekcją, nauką pogładową dla innych i to wszystko ma na pewno znaczenie i sens, tylko, czy przeszkadzałoby, gdyby ominać szczegóły? Zna ich wiele, jest ciągle w akcji, szuka, bez przerwy szuka, przez co łatwiej mu przechodzi moment utraty syna, bo jest zajęty, bardzo zajęty. Nie siedzi i nie płacze.

Syn nie wrócił do domu 23 grudnia. O godzinie 21.35 wysiedli z kolegą z autobusu, który dowozi ludzi do pracy w cementowni i rozeszli się każdy w swoją stronę. Pomiędzy słupkiem przystankowym przy szosie, a pierwszą kładką na rzece zaginął ślad jego syna. Musiał iść ścieżką wzdłuż szosy, potem przez kładkę i znów między zabudowaniami ulicą do domu, ale nikt go już tam nie widział.

Następnego dnia zaczęli z przyjaciółmi poszukiwania właśnie od tego przystanku znajdującego się czterysta metrów od domu. Sądzi, że może ktoś go napadł, potrafił, a może, że chłopiec — dziewiętnaście lat — wpadł do rzeki.

Nie, syn nigdy nie pił alkoholu i nie mógł go posadzać, że stało się to po pijanemu, brał pod uwagę raczej nieszczęśliwy wypadek. I wszystko na to wskazywało.

W pewnym miejscu nad rzeką znaleźli robioną na drutach wełnianą rękawicę jego syna. To był dowód, że tutaj coś się stało. Wtedy sobie uświadomił, że podczas porannych poszukiwań widział w tym miejscu wyryte na trawie ślady samochodowych opon, świadectwo jakiegoś samochodowego wypadku. Skojarzył to ze zniknięciem syna. Nadjechał wówczas milicyjny patrol. Milicjanci zatrzymali się na widok ludzi szukających czegoś z lampkami o jedenastej w nocy. Wyjaśnili im o co chodzi i dowiedzieli się od patrolu, że wczoraj wieczorem faktycznie w tym miejscu był wypadek — wpadł w poślizg jakiś samochód osobowy, ale kierowca wyszedł chyba bez szwanku, bo zanim przyjechała zawiadomiona przez kogoś milicja, już tutaj nic nie było, ani samochodu, ani ewentualnych ofiar, tylko ślady na trawie i szkło z wybitych szyb.

Pomyślał o najgorszym i pomyślał, że chyba nie da się odłączyć tego wypadku od zaginięcia jego syna.

Następnego dnia znowu szukał.

Tym razem znalazł torbę, którą syn miał ze sobą. Była w rzece, zaczepiona paskiem o korzeń. W środku znajdowała się na wpół prawie przełamana, licząca ponad dwieście pięćdziesiąt stron, oprawiona w grubą, sztywną okładkę, książka.

To były wszystkie ślady.

Należało teraz odszukać samochód, który miał w tym miejscu wypadek i po którym zostały tu jedynie kawałki szkła.

Znalazł się. Właściciel został tymczasowo zatrzymany w areszcie, a potem — po długich przesłuchiowaniach i badaniach samochodu — wypuszczony. Mówił: o niczym nie wie — wpadł w poślizg.

Ominiemy szczegóły...

— Nie ma we mnie chęci zemsty — powiedział. — Nic mi ten człowiek, jeżeli rzeczywiście wpadł tylko w poślizg, nie jest winien. Nic nam już nie przybędzie, ani ubędzie, trapić tylko, że nie wiem, co się stało. Chciałbym znać prawdę. I chociaż nie znalazł się, przyjąłem, że syn nie żyje. Nie chcę się oszukiwać, nie chcę dwa razy przeżywać jego straty.

— Nie mam zamiaru zemsty — powiedział później jeszcze raz. — Ale trafia do mnie, że mówią: „Kociarze sami zabili chłopaka, a teraz szukają ofiary”.

Natychmiast też dodał:

— Nie wiem, czy pan już wie — jestem Świadkiem Jehowy.



Wiedziałem. I wiedziałem też, ile niesprawdzonych rzeczy o tym „ludzie zachowującym prawość” się mówi, ile wokół tej chrześcijańskiej religii zajmującej w Polsce pod względem liczby wyznawców trzecie miejsce po katolikach i protestantach krąży plotek, ile wyzwalają czasem swoimi wędrówkami po domach ze Słowem Bożym, z „dobrą nowiną”, nietolerancji i niechęci. Więc choć nie przyszedł, żeby mnie nawrócić i choć może nie była po temu najstosowniejsza okazja, postanowiłem o wszystko dotyczące jego wyznania zapytać, skoro i tak niewiele mógłbym mu — to omijanie szczegółów — pomóc w odnalezieniu syna lub ustaleniu sposobu jego zniknięcia, nie nadaje się już bowiem na prywatnego detektywa.

I wtedy zaczął mówić, a potem pożyczył mi podobną do tej złamanej, odnalezioną w utopionej torbie jego syna, czerwono oprawną książkę pod tytułem „Będziesz mógł żyć wiecznie w raju na Ziemi”, której wydawcy (Watch Tower Bible and Tract Society of Pennsylvania; Wachturm-Bibel — und Traktat-Gesellschaft. Deutscher Zweig, e. V., Selters Taunus) mają nadzieję, że znajdę się „wśród ludzi, o których Biblia mówi: *„Sami sprawiedliwi posiadają Ziemię i będą na niej mieszkali na zawsze”* (Psalm 37.29).

### Świadkowie Jehowy.

Pojawili się ponad sto lat temu w amerykańskiej miejscowości Allegheny (dzisiejsza dzielnica Pittsburga w Pensylwanii), gdzie kilka osób, którym przewodził Charles Taze Russell, należący wcześniej do jakiegoś odłamu adwentystów, rozpoczęło badania Pisma Świętego i zaczęło uważać się za biblijnych spadkobierców tych, o których w Proroctwie Izajaszowym (43:10) powiedziano:

*„Wyście świadkowie moi mówi Pan, i sługa mój, któremu obrał, abyście wiedzieli i wierzyli mi, a wyrozumieli, że Ja jestem sam; przede mną nie jest utworzony bóg i po mnie nie będzie.”*

Dlaczego Jehowy? Bo takie według nich jest imię własne Boga, którego nie ma powodu nie używać, jeżeli występuje w hebrajskim oryginalu Biblii w postaci świętego tetragramu IHWH blisko siedem tysięcy razy, a którego tylko Żydzi nie śmieli wymawiać, zastępując je słowem Pan, Adonaj, zaś w większości przeładowo także zastąpiono je później niepotrzebnie słowami „Bóg” i „Pan”.

### Świadkowie Jehowy.

To nie była ich pierwotna nazwa. W 1831 r. powstało Towarzystwo Wydawnicze Strażnica Syjońska, później nazwę zmieniono na Strażnicę — Towarzystwo Biblijne i Traktatowe, które nabrało już znaczenia międzynarodowego, a je-



Jeźdźcy Apokalipsy: „jak ich szarża odbija się na tobie?”. Pytanie postawione przez pismo „Strażnica Zwiastująca Królestwo Jehowy”, z którego pochodzi reprodukowana ilustracja.

Repr. MAREK ŁOPIENSKI

go główną siedzibą stał się i jest nim do dzisiaj Brooklyn (dzielnica Nowego Jorku). Kiedy pierwszy prezes Towarzystwa, C.T. Russell, zmarł w 1916 r., a jego miejsce zajął Joseph Franklin Rutheford, Towarzystwo rozpadło się na kilka mniejszych grup, z których największą, jaką utrzymał on przy sobie, dla odróżnienia od nominalnego chrześcijaństwa, przybrała w 1931 r. nową nazwę — Świadkowie Jehowy.

Rozpoczęła się zakrojona na szeroką skalę działalność popularyzatorska i wydawnicza — posługiwano się radiem dla wygłaszania odczytów biblijnych, produkowano filmy o takiej tematyce, rozpowszechniono setki milionów książek i broszur oraz czasopism. Wzmogło się też „dzieło świadczenia”, czyli „głoszenia prawdy o Bogu i jego zamiarach” poprzez działalność misyjną, polegającą na chodzeniu od domu do domu, od drzwi do drzwi, zwłaszcza po śmierci J.F. Rutheforda, gdy w 1942 r. prezesem Towarzystwa został N.H. Knor i gdy założono ośrodek kształcenia misjonarzy: Biblijną Szkołę Strażnicy — Gilead, skąd kierowano kaznodziejów do 166 krajów świata.

W 1976 r., na kilka miesięcy przed śmiercią N.H. Knora, dokonano ostatniej zmiany organizacyjnej, powołując rozszerzone do osiemnastu osób tzw. Ciało Kierownicze z Biurem Głównym w Brooklinie, które kieruje całą działalnością Świadków Jehowy na świecie.

Wyznanie liczyło w 1978 r. ponad dwa miliony członków w przeszło dwustu krajach. Społeczność ta podzielona jest na oddziały obejmujące jeden lub kilka krajów, te dzielą się na okręgi, okręgi zaś na obwody tworzone przez kilkanaście zborów, nad których działalnością czuwają odrębne Ciała Kierownicze i Nadzorcy, wszyscy pracujący „służebnie”, bez wynagrodzeń.

W Polsce, od 1950 r. Świadkowie Jehowy zostali zdelegalizowani i nie mają osobowości prawnej, są jednak uznawanym wyznaniem. W ubiegłym roku odbyły się oficjalnie w Warszawie, Wrocławiu, Poznaniu i Chorzowie kongresy religijne Świadków Jehowy, pod hasłem „Lud zachowujący prawość”, które zgromadziły ponad 94.000 osób z kraju i zagranicy. Dwa lata wcześniej, podobne, chociaż oczywiście na mniejszą skalę zgromadzenia miały miejsce w Radomiu, Starachowicach i Kielcach. W kieleckim wzięło udział około tysiąca wyznawców.

Szczegółowych danych dotyczących liczby wiernych na Kielecczyźnie i w Radomskim, nie udało mi się, niestety, uzyskać. Mój rozmówca nie bardzo chciał o tym mówić.

Mówi się potocznie i dość wzgardliwie o tym wyznaniu: „Kocia wiara”, co w ustach katolików oznacza fałszywość. Świadkowie Jehowy podobną zresztą opinię wyrażają o katolicyzmie i innych chrześcijańskich wyznaniach, które ich, Świadków Jehowy zdaniem, robią niejedno, czego Bóg nie pochwała, choćby na przykład podczas dwóch ostatnich wielkich wojen, gdy za zgodą kapłanów i w imię Boże zabijały się wzajemnie tkwiące po obu stronach frontów rzesze katolików i protestantów, żeby nie wspominać wojen religijnych i inkwizycji. Nie będę zresztą przytaczał tu i roztrząsał większości z tych przykładów i argumentów, nie jestem jehowitą, chociaż przyznaję, czasami zdarza mi się bywać, w innych niż boskie sprawy, karności.

W co więc wierzą Świadkowie Jehowy?

W Boga wszechmogącego — jak wszyscy chrześcijanie: w Jehowę — stwórcę niebios i Ziemi; w Biblię, jako pismo przez Jehowę natchnione; w Chrystusa, który był pierwszym stworzeniem bożym i umarł na palu, nie na krzyżu, aby odać swe ziemskie życie w okupie za posłusznych ludzi, stworzonych, a nie powstałych drogą ewolucji i umierających razem ze swoją przestającą istnieć po śmierci duszą, z powodu grzechu Adama.

Wierzą też, że na Ziemi powstanie wkrótce Królestwo Chrystusowe, w którym panować z nim będzie „mała trzódka” składająca się ze 144 tysięcy wybranych, a „inni ludzie mający

uznanie Boże, będą mogli żyć wiecznie na rajskiej ziemi.” Wcześniej jednak odbędzie się Armagedon, wielka bitwa boża, w której zli zostaną wytraceni na zawsze i zwyciężony zostanie Szatan, niewidzialny władca świata.

I wierzą, że żyjemy w „dniach ostatnich”, w 1914 r. skończył się bowiem zapowiedziany w Biblii „Czas pogan”, „czasy wyznaczone narodom”, gdy Bóg nie miał rządu reprezentującego jego władzę na Ziemi. Teraz, po walce w niebie, Szatan został strącony na Ziemię, a Chrystus panuje tu już wśród nieprzyjaciół i trwać to będzie przez okres nie przekraczający życia pokolenia (z 1914 r.), które powinno dożyć końca wszelkiego zła, jaki nastąpi po Armagedonie.

„A to wiedz — czytamy w drugim liście apostoła Pawła do Tymoteusza — że w ostateczne dni nastaną czasy trudne; albowiem będą ludzie samolubni, chciwi, zarozumiali, pyszni, bluźniercy, rodzicom nieposłuszni, niewdzięczni, bezbożni, wyzwieci z miłości, wiarołomni, potwarczy, niepowściągliwi, okrutni, dobra niemiłujący, zdrajcy, zuchwali, nadęci, miłujący raczej rozkosze niż Boga, którzy mają pozór pobożności, ale się mocy jej zaparli; i tych się chroń”.

Evangelie mówią o powstaniu narodu przeciw narodowi, królestwa przeciw królestwu, o trzęsieniach ziemi w jednym miejscu po drugim, o zarazach i wroście bezprawia, Apokalipsa grozi tym, którzy niszczą Ziemię. I tak się dzieje. Świadkowie Jehowy powołują się na pierwsze strony gazet.

Zbliża się Armagedon. Przejadą po nas Jęzdźcy Apokalipsy. Po nich przyjdzie Królestwo Boże i Bóg będzie mieszkał z ludźmi: „I otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich; i śmierci już nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani mozołu już nie będzie...” (Apokalipsa, 21:4).

Oto „dobra nowina” jaką przynoszą z sobą Świadkowie Jehowy, chodząc z domu do domu.

Mówiliśmy długo o tym, dlaczego, szokując polskich katolików nie uznają kultu Matki Boskiej i wszystkich świętych, żadnych religijnych symboli — obrazów, krzyży, relikwii: dlaczego ważny jest tylko chrzest przez całkowite zanurzenie w wodzie dopiero człowieka zupełnie dojrzałego; dlaczego z daleka trzymają się od ruchów ekumenicznych; dlaczego mają niechęć do polityki, wyjawszy może nawoływanie do powszechnej zgody i pokoju; dlaczego służbę wojskową — jak i on sam, brat Kazimierz — odsiadują w więzieniach, uważając, że w żadnej sytuacji brat nie powinien podnosić ręki na brata, ani się do tego przygotowywać; dlaczego nie biorą udziału w strajkach i rzetelnie pracują, ale i nie idą głosować w wyborach?

Pytałem też o rzeczy dla nas współczesnych — obojętne, wierzących, czy nie — zupełnie niezrozumiałe, jak choćby o ów zakaz transfuzji krwi, z którym tyle lekarze przy Świadcach Jehowy mają kłopotów i zawsze w odpowiedzi słyszałem biblijny cytat. O tej krwi na przykład, że Biblia nakazuje: „Abyscie się wstrzymali od rzeczy białawom ofiarowanych, i od krwi, i od tego co zadławione, i od wszeteczństwa; tych rzeczy jeśli się wystrzegać będziecie, dobrze uczynicie. Miejcie się dobrze”. (Dzieje Apostolskie, 15:29). I że cytat ten oznacza dokładnie to, co mówi. I zaraz też była historia, gdzieś sprzed czterech lat, gdy w kieleckim szpitalu wykrwawiła się przy porodzie jedna ich siostra z niedbałości obsługi i chciano ją ratować przy pomocy transfuzji. Nie zgodziła się i nie pomógł nawet prokurator nie mogąc podjąć decyzji o przetaczaniu, gdyż pacjentka była przytomna. A ona nie traciła przytomności i zdawało się lekarzom, że nie ma dla niej ratunku. Był. Bracia w ciągu trzech dni sprowadzili dla niej z Austrii jakiś nie znany zupełnie w Kielcach, a może nawet w Polsce krwiopodobny preparat. To położnicę uratowało, urodziła już od tamtego czasu drugie dziecko.

— A z krwią Biblia ma rację — mówi brat Kazimierz. — Z krwią przenoszą się choroby weneryczne, żółtaczki, ostatnio AIDS, występują powikłania przetoczeniowe. Czy ktoś to wcześniej, przed Biblią, przewidział?

Od tej krwi, od historii z telefonem do braci w Austrii z prośbą o lek, przeszliśmy do tego co wśród Świadców Jehowy najmocniejsze — wzajemne więzi i pomoc.

— Chrystus udowodnił, że jest w stanie panować nad przyrodą, nakarmić, wskreszyć i uzdrowić. Pokazał też, że ludzie z różnych warstw społecznych mogą żyć w miłości i zgodzie — wszak Łukasz był lekarzem, apostoł Paweł uczonym w piśmie, a więc uczonym rabinistą, Piotr był rybakiem — biednym człowiekiem, Andrzej podobnie, a Mateusz poborcą podatków, więc na usługach cesarstwa rzymskiego. Nie dziwne więc chyba, że wszyscy Świadcowie Jehowy, którzy mnie znają lub nie, są zainteresowani moim nieszczęściem — mówi brat Kazimierz. — Jeżeli komu innemu dzieje się krzywda, też staramy się pomóc, nawet jeżeli jeden z nas popełni błąd i naruszy zasady biblijne, najpierw wszyscy spieszą z pomocą. „Idź strofuj go! — mówi Chrystus. — Jeżeli cię nie usłucha, weź dwóch świadków, jeżeli ich nie usłucha, powiedz zborem, niech go zbór strofuje, a jeżeli zboru nie posłucha — odłącz go!”

Wykluczają złych i nieposłusznych ze swojej religijnej społeczności. Nawet nie utrzymują z takimi prywatnych kontaktów. Jeżeli jednak błędzący poprawi się i „wyda owoce swojej skruchy”, czyli zaniecha błędów i będzie stale

myślał i postępował jak należy, może wrócić do zboru.

Tutaj nie odpukuje się grzechów.

Wszyscy zainteresowani jego nieszczęściem...

Dwudziestu braci po trzykroć przeszukiwało rzekę na długości dwudziestu niemal kilometrów, w różnych okresach i przy różnym stanie wody, aby znaleźć ciało swojego współwyznawcy. Przyjechała też strażacka brygada z bosakami, będąca w stanie rozwalić największą stodołę, ale usunęła tylko dwa zatory na rzece i to też nie przyniosło skutku. Nigdzie Krzysztofa nie było.

Wreszcie po ponad dwóch miesiącach, pewna kobieta przypadkiem zobaczyła jego ciało w wodzie, dwieście metrów od miejsca, gdzie zgubił tamtą wełnianą rękawiczkę i torbę z książką o raju na Ziemi.

Zrobiono sekcję zwłok. Prowadzący śledztwo w sprawie śmierci brata Krzysztofa stwierdzili jak na razie, brak związku przyczynowego między jego zgonem i zdarzeniem z samochodem.

Potem odbył się pogrzeb na cmentarzu komunalnym w Cedyń. Bracia i siostry śpiewali pieśń o nadziei na zmartwychwstanie: „Jehowo, Tyś ostoja nasza...”. W pogrzebie wzięło udział półtora tysiąca osób z całej Polski. To był największy pogrzeb w tym roku na tym cmentarzu.

A potem dowiedziałem się, że rodzice Krzysztofa sprzedają swój dom nad rzeką, prawie nowy dom, w którego przyziemnej garażowej części ojciec z synem urządzili Salę Królestwa, w której podczas tegorocznej Wieczerzy Pańskiej obchodzonej na pamiątkę Chrystusowej śmierci podczas księżycowej pełni najbliższej wiosennemu zrównaniu dnia z nocą, było tu aż sto pięćdziesiąt osób, i wyjeżdżają gdzieś w okolice Krakowa. Poszedłem ich odwiedzić i po przywitaniu, kiedy zapytałem dlaczego to robią, jakby wiedział, jaki w tych słowach był sens, bo rzekł:

— Właśnie dlatego.

Nie rozmawialiśmy długo w ten skwarny czerwcowy dzień, bo spieszył się umówiony na studiowanie Biblii, a może po prostu szedł gdzieś do ludzi opowiadać im o nadejściu Królestwa Niebieskiego i uczyć, co powinni robić, aby stanąć po stronie prawdy.

Nie przyszedł wtedy na początek z dobrą nowiną. Przyszedł podzielić się swoim ojcowskim bólem i pewnie z jakąś odrobiną nadziei. Obiecywałem, ale nie potrafiłem pomóc. Niech mi będzie wybaczone. I nich będzie wybaczone tym, którzy jego straty nie zrozumieli.

ZBIGNIEW NOSAL



# Miejsce dla Bernasiewicza

Barbara Erber

*„Ja, Jan — rzeźbię dlatego ażeby Polskę, Ojczyznę naszą umaić, ubogacić rzeźbami, uduchowić, wstawić... aby upamiętnić polską historię i kulturę. Ja zapisuję wszystko co polskie... robię dla narodu muzeum polskości!”*

**W**TAK podniosłym, żarliwym tonie zwykł był wyrażać sens swego posłannictwa Jan Bernasiewicz, rzeźbiarz i pamiętnikarz wyróżniający się oryginalną osobowością spośród współczesnych artystów ludowych w Polsce, zmarły 24 listopada 1984 roku. W Jaworzni-Gniewcach, podkieleckiej wsi, w której spędził całe 76 lat życia, w swoim sadzie, w czasie od 1966 do 1984 r. stworzył niezwykłą galerię rzeźb, której nadał nazwę „Muzeum Jana Bernasiewicza w Jaworzni”. Do muzeum, które nazywał też „ogrodem rzeźb” prowadzi brama strzeżona przez potężnych kosynierów.

W sadzie, mającym kształt wydłużonego trapezu o powierzchni 25 arów, wśród zdziczałych już dziś gruszy, jabłoni i śliw ustawił ponad 600 drewnianych figur o wysokości od 20 cm do 2 m, przedstawiających świętych, „herodów”, postacie z baśni, zwierzęta, a nade wszystko „ludzi zasłużonych dla Polski” — królów, wodzów, bohaterów powstań narodowych, uczonych i artystów. Są też wyobrażenia znajomych, sąsiadów, rodziny. Stoją pojedynczo lub w grupach, jak np. „Kapliczka”, „Boża Męka”, „Pamiętnik Żołnierzy poległych w wojnie 1839—1945”,

pomnik Jana Pawła II, „Drzewo życia”. Upamiętnił też samego siebie zarówno w drewnie, jak w kamieniu. Ponieważ pragnął pozostać na zawsze w „ogrodzie rzeźb”, przygotował sobie w nim murowany grobowiec.

Wtopione w zielen drzew i krzewów, wyrastające z kęp traw i ziół korowody postaci, aniołów, diabłów, fantastycznych strachów działają na wyobraźnię z wyjątkową mocą. Wrażenie niezwykłości i osobliwości zjawiska potęgował kontakt z twórcą, jego sposób oprowadzania po swoim „muzeum” — sposób, w jaki głoszenie prawdy o historii spletał z opowieściami, anegdotami, wróżbami i żartami. Wrażenia niecodzienności dopełniała obecność żony rzeźbiarza, Marii, autorki prostych wierszowanych utworów, w których motyw rzeźb, ogrodu wiejskiej egzystencji Bernasiewiczów najczęściej się przewija.

W 1976 r. ukazała się w „Przeźmianach” pierwsza relacja o rzeźbiarzu, pióra Z. Nosala. W niedługim czasie stał się postacią znaną, zwłaszcza po zorganizowaniu wystaw przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego oraz Muzeum Narodowe w Kielcach. Artystę przyjęto do Stowarzyszenia Twórców Ludowych, uhonorowano nagrodami im. J. Pocka, „Przeźmian” i stypendium Ministerstwa Kultury i Sztuki. „Ogród rzeźb” odwiedzano, opisywano, fotografowano i filmowano podkreślając ekspresyjność formy wyrazu oraz oryginalność wyobraźni jego autora. Zainteresowaniu towarzyszyła także niezmiennie troska o los galerii w przyszłości, co znalazło odbicie w prasie i poczynaniach władz kulturalnych. Niepokój budził pogarszający się z roku na rok stan zachowania rzeźb eksponowanych pod otwartym niebem. Ginęły one z nie ogrodzonego sadu, ten zaś od 1976 r., to jest od czasu przekazania gospodarstwa za rentę rolną, Jan Bernasiewicz użytkował już tylko dożywotnio.

Pomysł przeniesienia rzeźb i przeprowadzki Bernasiewiczów w 1980 r. do pobliskiego Piekoszowa na teren wykupiony przez Urząd Gminy nie powiódł się. W kutek opóźnień i niedbałości w przygotowaniu domostwa, Bernasiewiczowie nie wy-



Fot. KRZYSZTOF WOJCIK

razili zgody na opuszczenie Gniewiec. Nadzieje na wykupienie sadu i pozostawienie „ogrodu rzeźb” in situ upadły. Wykupu nie podjęto wcześniej wobec skomplikowanej sytuacji prawnowłasnościowej terenu, a od roku 1983 stał się on nieosiągalny ze względu na brak funduszu na tak kosztowną inwestycję jaką byłoby utworzenie w Gniewcach punktu muzealnego.

W tej sytuacji, na początku listopada 1984 r., Jan Bernasiewicz zdecydował się na przekazanie całego swego dorobku Muzeum Wsi Kieleckiej. Projektowano przewiezienie rzeźb do Parku Etnograficznego w Tokarni w 1985 r. i tam, po dokonaniu koniecznych zabiegów konserwatorskich, ulokowanie na wybranym miejscu według koncepcji przygotowanej przy współudziale ich twórcy. Nie spodziewana śmierć rzeźbiarza przekreśliła to zamierzenie.

Opracowanie formy pokazu spuścizny Jana Bernasiewicza w Parku Etnograficznym stawia przed nielatwymi do pogodzenia problemami natury merytorycznej i konserwatorskiej. Ponadto program ekspozycji trzeba będzie rozszerzyć przez włączenie do niego — oprócz rzeźb — reszty spuścizny, na którą składają się zapisy o bardzo różnorodnej treści, prowadzone przez Bernasiewicza w latach 1933—1984 i obejmujące kilkanaście zeszytów, plik kart z notowanymi na gorąco tematami rzeźb, szkice rysunki i ilustracje wykorzystywane przy rzeźbieniu narzędzia pracy. Następnie ksa-

żki, czasopisma oraz przepisywane przez rzeźbiarza podręczniki białej magii, wróżbiarstwa i spirytyzmu, formuły zaklęć i modlitw, w których szukał wsparcia w przeciwnościach losu. Istnieją także trzy książki zawierające wpisy osób zwiedzających „muzeum” w ciągu lat 1979—1984.

W odczuciu społecznym za najważniejsze przyjęto dążenie do odtworzenia „ogrodu rzeźb” w kształcie, w jakim pozostawił go Bernasiewicz w chwili śmierci, gdyż jedynie w naturalnym otoczeniu jego galeria zyskiwała pełnię wymowy. Idea artysty jakkolwiek najtrafniejsza, nie miała szansy przetrwania ponieważ skazywała rzeźby na unicestwienie. Należy się więc liczyć z tym, iż wymogi konserwatorskie wykluczą możliwość eksponowania wszystkich figur w skansenie na otwartej przestrzeni. Konieczne więc będzie rozpatrzenie możliwości eksponowania pewnej części rzeźb wśród drzew i krzewów, ale przy zastosowaniu odpowiednio zaprojektowanej osłony chroniącej przed niszczącym działaniem zmian atmosferycznych. Projekt ekspozycji rzeźb we wnętrzu (pawilonu?), są sugestie, aby wykorzystać wnętrze przeniesionej do skansenu stodoły? — powinien uwzględnić konieczność wprowadzenia fotogramów ukazujących aranżację „ogrodu rzeźb” przez Jana Bernasiewicza w Gniewcach. Osobnego rozpatrzenia będzie wymagała decyzja zrekonstruowania w skansenie murowanej ziemianki z drewnianym strysz-

kiem, wokół ścian której Bernasiewicz eksponował ponad 100 figur. W ziemiance miał podręczny warsztat, zaś na stryszku przechowywał wymienione już wcześniej zapisy, listy, szkice, czasopisma itd. oraz gromadzone żywiołowo rozmaite przedmioty, stanowiące w jego odczuciu ważną część muzeum, ale nie udostępniane zwiedzającym.

Realizatorzy przedsięwzięcia mają do dyspozycji plan zagrody i „ogrodu rzeźb” opracowany w Dziale Etnografii Muzeum Narodowego w Kielcach wraz z dokumentacją opisową gromadzoną w latach 1982—85\*, oraz znakomitą dokumentację fotograficzną i fonograficzną wykonaną przez Jarosława Krzysztofa Wójcika z Warszawy. Muzeum Wsi Kieleckiej czeka wielka praca inwentaryzacyjna, dokumentacyjna i konserwatorska. Zadanie realizatorów ekspozycji spuścizny Jana Bernasiewicza w skansenie będzie polegać nie tylko na pokazie jej materialnej substancji, lecz także na ocaleniu i przekazaniu treści, dla których ten niezwyčajny „ogród rzeźb” został przez jego twórcę powołany do istnienia.

BARBARA ERBER

\* Plan ogrodu wraz ze szczegółowym wykazem prac autorka publikuje w obszernym szkicu pt. Jan Bernasiewicz — twórca „ogrodu rzeźb”, w t. 15 „Rocznika Muzeum Narodowego w Kielcach”, w druku.

# GŁÓD

Marzena Wędrzyk

**O**KRESLENIA głód używamy najczęściej do opisu stanu deficytu energetycznego w organizmie, choć może ono oznaczać również uczucie nie wynikające z niedostatecznej ilości składników energetycznych w ustroju. Mówimy, że organizm znajduje się w stanie głodu zupełnego, gdy nie dostarcza się mu żadnych składników pokarmowych, natomiast przez głód częściowy rozumiemy niedostateczne pokrycie zapotrzebowania energetycznego ustroju wynikające ze zmniejszonego przyjmowania pokarmów. Organizmy utrzymywane w stanie głodu wykazują deficyt energetyczny w postaci zmiany ogólnego poziomu metabolizmu, co przejawia się w konkretnych, zauważalnych reakcjach fizjologicznych, biochemicznych, itd. Większość badań dotyczących tego zagadnienia była przeprowadzana na szczurach, natomiast wśród ludzi poddawano analizie chorych z jądłowstrętem psychicznym i osoby otyłe leczone głodem całkowitym. Jednym z pierwszych objawów poddawania organizmu obciążeniem głodzenia zupełnego jest zmniejszenie masy ciała, przebiegające w dwóch etapach: gwałtowny spadek masy organizmu występuje w okresie od kilku dni do kilku tygodni, natomiast w drugim etapie tempo tego procesu jest wolniejsze. Jest to faza stabilizacji.

Istnieją różnice pomiędzy typem zmiany masy ciała u osób zdrowych w warunkach głodu zupełnego oraz u osób otyłych podlegających leczeniu metodą głodzenia. Ponadto zauważono, iż szybciej chudną mężczyźni, aniżeli kobiety.

W jaki sposób organizm uzupełnia niedobory energii oraz pokrywa zapotrzebowanie na nią?

Otóż źródłem energii w warunkach głodu jest przede wszystkim tkanka tłuszczowa, ulegająca zanikowi przez spalanie u wolnionych z niej wolnych kwasów tłuszczowych (występuje głównie u

ludzi otyłych). W późniejszych etapach głodzenia, po wykorzystaniu tej rezerwy, zużywane są głównie węglowodany. Dane te zostały potwierdzone przez liczne badania i obserwacje, pozwalające stwierdzić, że w pierwszym dniu głodzenia metabolizm tłuszczowców pokrywał 88 proc. wydatku energetycznego. Spadek masy ciała, jaki wykazują organizmy przy braku lub niedoborze składników pokarmowych, ma związek ze zmniejszeniem się masy tkanek i narządów. W mniejszym stopniu zależy on od utraty osocza krwi i płynu wewnątrzkomórkowego, a więc płynów ustrojowych (woda parująca z powierzchni ciała i dróg oddechowych oraz woda wydalana z moczem). Podczas głodzenia płyny te wykazują zmiany rozmieszczenia w organizmie, co jest następstwem powiększania się objętości przestrzeni wewnątrz- i zewnątrzkomórkowej, a może się objawiać tzw. „obrzękiem głodowym”. Ogólna objętość krwi w głodzącym ustroju zmniejsza się, występują również wahania w objętości jej osocza w odniesieniu do jednostki masy ciała.

Skutkiem długotrwałego głodu są dość często zmiany w budowie i funkcji poszczególnych narządów, wykazujące indywidualne różnice w odniesieniu do każdego badanego osobnika. Na przykład zmianom zwyrodnieniowym ulegają mięśnie szkieletowe, m.in. zatarciu poprzecznego prażkowania włókien i charakterystycznej ich fragmentacji. Prowadzi to może do znacznego obniżenia siły mięśniowej i zdolności do wysiłku. Podobnie znacznym i wyraźnym przeobrażeniem ulega wątroba. Niewielki ubytek masy i zmiany funkcjonalne wykazują nerki, płuca oraz także i mózg. Stosunkowo niejasne są dane dotyczące wpływu głodzenia na układ kostny. Przypuszcza się, że u wielu ludzi występuje zmniejszenie się masy kości oraz postępuje demineralizacja kości. Przy pomocy badań rentgenowskich daje się zauważyć ubytek masy mięśnia sercowego oraz zmiany morfologiczne w tym narządzie. Układ krwionośny ujawnia spadek liczby erytrocytów, głód nie oszczędza także układu limfatycznego i gruczołów chłonnych, prowadząc do zmniejszenia się liczby specyficznych białych ciałek krwi, limfocytów — T. Ciała odpornościowe, tzw. immunoglobuliny, pomimo utrzymywania się na poziomie fizjologicznym, wykazują spadek zdolności do produkcji swoistych przeciwciał. Opisane zmiany prowadzą w efekcie do słabienia odporności organizmu na zakażenia bakteryjne, wirusowe i grzybicze.

Dzisiejszy stan badań nie pozwala jednak stwierdzić z całą pewnością, czy podczas głodu wszelkie zmiany narządowe są spowodowane deficytem substancji energetycznych, czy też wynikają z niedoboru składników mineralnych, bądź witamin.

Metabolizm w warunkach głodu charakteryzuje się zmniejszeniem tempa podstawowej przemiany materii o około 20—30 proc. W początkowym okresie wiąże się to z ubytkiem aktywnej metabolicznie tkanki mięśniowej, w wyniku czego obniża się wydatkowanie energii, gdyż aktywność ruchowa ulega zniesieniu lub jest znaczenie zahamowana. Wtedy też następuje rozkład tkanki tłuszczowej i wzrasta „obrót” kwasów tłuszczowych, wątroba wytwarza ketokwasy (kwasy ketonowe), których utlenianie pokrywa 60—80 proc. całkowitego zapotrzebowania energetycznego organizmu.



Wszystkie opisane wyżej skutki głodu stanowią rodzaj mechanizmów regulacyjnych, zabezpieczających ustroj przed obniżeniem poziomu glukozy we krwi.

Ustala się także równowaga pomiędzy zużyciem glukozy a jej syntezą w procesie jej odtwarzania. Często jednak, pomimo powyższych „zabezpieczeń”, obserwuje się niedobory tego podstawowego dla żywego organizmu cukru. Może to wynikać z przejawiających się równolegle zaburzeń hormonalnych lub z braku dostatecznej ilości substratów, którymi organizm podczas głodu przecież nie dysponuje. Również znaczny wysiłek fizyczny, nadmiar insuliny, także ukryta choroba nowotworowa mogą powodować większe zużycie glukozy. W pierwszych dniach głodu koncentracja glukozy ulega spadkowi w stosunku do normy, potem utrzymuje się przez pewien okres na stałym poziomie. Adaptacją organizmu do przeżycia w tych warunkach jest nasilająca się synteza glukozy z substancji niewęglowodanowych, a więc głównie z białek własnych tkanek, z czym wiąże się intensywny ich rozkład. Znaczny ubytek białek tkankowych może doprowadzić do upośledzenia funkcji wielu narządów, dlatego dopiero w głodzie długotrwałym organizm adaptuje się do niego w ten właśnie sposób. Najpierw wykorzystywane są bowiem maksymalnie kwasy tłuszczowe, a potem dopiero, gdy ich już brakuje — białka własnego ciała. Taki rodzaj postępowania ma szczególne znaczenie dla prawidłowego funkcjonowania układu nerwowego, który warunkuje homeostazę (utrzymanie stałego środowiska wewnętrznego, bez względu na zmiany zewnętrzne) organizmu i decyduje o jego przeżyciu.

Podczas żywienia subkalorycznego, gdy występują objawy głodu częściowego, pojawiają się również deficyty energii w organizmie oraz utrata białek ustrojowych, zmniejsza się też ich synteza. Zachwiana jest także równowaga azotowa, którą można przywrócić przez podanie z pożywieniem tzw. egzogennych aminokwasów. Egzogenne aminokwasy to takie, których organizm ludzki lub zwierzęcy nie potrafi sam syntetyzować w swych tkankach, a musi je otrzymywać z pożywieniem.

W warunkach głodu obserwuje się wyraźne zmiany ilości hormonów krążących we krwi. Duże pozytywne znaczenie ma zmniejszenie się ilości insuliny, która, jak wiadomo, jest jedynym hormonem obniżającym poziom cukru. Zjawisko to wiąże się z zahamowaniem wydzielania tego hormonu przez komórki wysp trzustkowych, na co być może mają wpływ włókna nerwu błędnego unerwiające trzustkę. Gdy w ciągu pierwszych 3 dni głodu stężenie insuliny we krwi zmniejsza się, glukoza w tym okresie wykazuje zwiększony poziom we krwi. Obroną organizmu przed stopniowym wyczerpywaniem się rezerw węglowodanowych jest w stanach głodu wzmocnienie aktywności układu współczulno-nadnerczowego. Objawia się to wzrostem stężenia we krwi m.in. adrenaliny. Dzięki temu możliwa jest także przez nią kontrola procesów rozkładu tkanki tłuszczowej i uwalniania z niej do krwi wolnych kwasów tłuszczowych. Obniżeniu się poziomu cukrów w głodzie towarzyszy także spadek stężenia niektórych hormonów, np. triiodotyroniny (T3), wydzielanej przez tarczycę. Jej poziom wyraźnie obniża się po upływie około 2 tygodni głodzenia. Hormon

T3, jako substancja o działaniu kalorycznym, powoduje zmianę nasilenia procesów metabolizmu, gdy w organizmie istnieją niedobory energetyczne. Podobnie rzecz ma się z hormonem somatomedyną oraz z androgenami (męskie hormony płciowe), które sprzyjają przyswajaniu związków organicznych i ich syntezie. Z powodu obniżonej ich aktywności w głodzie, hamują syntezę białek.

Zmiany czynności narządów, które umożliwiają przeżycie organizmu podczas głodzenia są różnorodne i zależą od wielu czynników, np. od masy ciała, od aktywności ruchowej, stanu zdrowia, itp. Objawem zmiany w pracy serca jest zmniejszenie się częstości skurczów przedsionków i komór określane jako bradykardia. Tym samym serce wydatkuje mniej energii, tak przecież potrzebnej w obliczu niedostatecznego jej pokrycia.

Obniżenie poziomu podstawowej przemiany materii w głodzie pociąga za sobą mniejszą wentylację płuc. Jak już wspomniano, niedostateczne dostarczenie organizmowi substancji odżywczych, energetycznych i witamin doprowadza do obniżenia się odporności na różnorodne zakażenia. Spowodowane jest to zmianami w czynności układu immunologicznego. Znaczenie upośledzenie funkcji fizjologicznej wykazuje układ pokarmowy. Często dochodzi do zaburzeń we wchłanianiu pokarmów oraz ich trawieniu. Układ ruchowy charakteryzuje się w stanie głodu pogorszeniem koordynacji i zmniejszeniem się siły mięśni. Już po upływie 2–3 dni występuje depresja ruchowa. Stan taki utrzymuje się jednak tylko przejściowo, gdyż później (nawet po 2 tygodniach) można zauważyć u badanych ludzi zdolność do pracy i wysiłku fizycznego. Zmiany czynnościowe w układzie moczowym nie są zbyt wyraźne podczas niepełnego zabezpieczenia i pokrycia zapotrzebowania energetycznego ustroju. Dotyczą one jedynie poliurii, objawiającej się wzrostem ilości wydalanego moczu. Zjawisko to jest prawdopodobnie spowodowane zwiększonym wypianiem wody, rekompensującym brak pokarmu.

Wiele danych dotyczących rozważanego tu problemu głodzenia i głodu uzyskano w nietypowych, niestety, drastycznych warunkach, jakimi były getta żydowskie i obozy koncentracyjne. Szczególnie duży wkład wnieśli tu lekarze żydowscy, którzy badali skutki głodu w getcie warszawskim.

Nadal dyskutowany jest problem czasu przeżycia przez człowieka w warunkach głodzenia. Niektórzy żyli ponad 60 dni, mając jedynie dostęp do wody. Śmierć z głodu może nastąpić przy różnym procencie utraty masy ciała w zależności od pokładów tkanki tłuszczowej, indywidualnej adaptacji organizmu do specyficznych warunków niedostatku energii itp. Bezpośrednią przyczyną śmierci głodzonego ustroju nie jest dzisiaj jeszcze znana, ale przypuszcza się, że jest ona związana ze zmianami biochemicznymi rozwijającymi się jeszcze przed zupełnym wyczerpaniem się rezerw energetycznych. Według Keysa, głód, poprzez wywołanie odpowiedniej reakcji metabolicznej i fizjologicznej ustroju, może być uważany za czynnik selekcji naturalnej u zwierząt w zgroźeniu białkiem pokarmu.

TO POLAND AND VICTORY

# Ciągle coś nowego...

Józef Z. Głogowski

**N**AJBARDZIEJ kolorowym i typowo polskim „zawierucha”, a rosyjskim „bradiaga” był mat z marynarki na Prypeci, który dostał się do wojska radzieckiego. Tak jednak kręcił i lawirował, że udało mu się wsiąść na statek. Co za człowiek! Pomimo 26 lat, ani włoska na głowie, pełno zacięć na policzkach — wszystko przy goleniu, w pośpiechu. Wylądował na Morzu Czarnym, stamtąd przedostał się do Rumunii, na Węgry, do Grecji i Francji, i tak jak ja, wylądował w Anglii. Tutaj przerobili go na kaprala i jako „mechanik pokładowy” (taki nosił tytuł w plutonie) dostał się do pomocy sierżanta Jemolity. Zdaje się, że tych dwóch żyło się wspólnie w polu — w wojsku i na wojnie!

Przed wyjazdem ze Szkocji, kiedy już było wiadomo, co kto ma robić i jakie zajmie stanowisko na froncie, kapral S. stanął z prośbą do raportu do dowódcy plutonu o uczciwy, samodzielny przydział, do jakiego on był w swym życiu przyzwyczajony: z pewną dozą marynarskiego zacięcia i co najmniej z jedną kroplą wody! Dowódca plutonu wiedział, na co się zanosi znając kpr. S., a więc zwa-

lił ten cały raport na mnie. Słuchałem kaprala S. z uwagą i jednocześnie, aby nie być bezmyślnym krętaczem musiałem wymyślić coś dobrego, aby jakoś wypaść wobec życia znającego kaprala, no i jak to mówią, aby wilk był syty i owca cała. Ponieważ marzył mu się samodzielny przydział, niezależny, bez tych „chamskich, sadystrycznych podskoków” i z przyszłościową kroplą marynarskiej wody — nagle zdobyłem się na genialny pomysł: kierowca beczkowsu dla potrzeb kuchni! 2500 litrów wody pitnej i zdrowie całej kompanii leżało teraz w jego rękach.

Moje oświadczenie przyjął jako genialny żart, niemniej jednak zaakceptował je, solennie przyrzekł wszystkie rozkazy sumiennie wykonywać, tym bardziej że był teraz pod zwierzchnictwem batalionowego oficera-lekarka kontrolującego bakteriologiczny stan coraz to nowych źródeł wody pitnej.

Na froncie, we Francji, ten człowiek był więcej niż cyganem! Helm, który nosił, raz był niemiecki, to amerykański lub francuski z czasów pierwszej wojny, to znów wkładał beret strzelca alpejskiego bądź

zawieruchy basquea z Hiszpanii. Nosił stylem harcerskim żółty szalik i rękawice do łokci.

Każdy normalny wóz na piasku robi dwie koleiny: jego beczkowóz robił cztery! Mówił, że kiedyś bokiem zawadził o armatę i zwichnął karoserię. Wszyscy go znali, nikt uwagi nie zwracał na jego ubiór. Grunt, że woda ciągle była w kuchni.

Aż tu pewnego razu, daleko za St. Omer, kapral S. zajechał jak zwykle, przed kuchnię. Jest gorąco, wody potrzeba do gotowania obiadu, do mycia, ludzie spragnieni czekają, każdy spocyny i nerwowo, a kapral S. ciągle siedzi w szoferce i z lekka się uśmiecha. Ze swojej pakamery wypadł Ślązak-kucharz i krzyczy: „Pieroński giździe daj se klucz do krana”. Teraz z szoferki wyszedł kapral S., majestatycznie i z dumą podszedł do beczki, klepnął ją kilkakrotnie i rozpoczął piękną orację, jak to kiedyś, 1900 lat temu, w Kanie Galilejskiej, Chrystus, pan nasz i zbawiciel, przemienił wodę w wino! „Tyle lat upłynęło do chwili obecnej, a dziś stał się lepszy cud. Ja zamienięm 2500 litrów wody w spirytus — kalwados!”

Jadąc, jak mówił: „na nosa”, z rozbitej gorzelni wypompował całą kadt spirytusu. „Panowie, jakież wypada taką rzecz pominąć”.

Naturalnie, o obiedzie nawet nikt nie wspomnieli. Migiem beczkę opróżnili, w bańki, gąsiorki, manierki i jerry-cany i dopiero wtedy kapral S. pojechał po wodę na kolację.

I tak zaopatrując w wodę kompanię benzynową, kapral S. stał się legendą na trasie walk I Dywizji Pancernej. Raz przywoził do kompanii 400-litrową beczkę dębową z jakiejś gorzelni, napelniał ją ciągle wodą, aby kuchnia miała zapas, a on mógł buszować po browarach i gorzelniach.

Żołnierz z niego był doskonały. Wody w kuchni nigdy nie brakowało, zawsze była na czas, wśród największej poniewierki, wśród kurzu pól i zalesionych zagajników kapral S. wszędzie dojechał i w porę. Ale to, co było na poboczach — wina, likieru i koniaki — wszystko po swojemu „konfiskował”, aby później przy pobieraniu benzy-

ny zasłużonych i co ważniejszych obdzielić koniakiem.

Któregoś dnia, pod wieczór, przystanęliśmy niedaleko granicy holenderskiej, aby przyrzadzić kolację zanim zabierzemy się do rozładowywania wozów z benzyną. Nagle, goniec zjechał z wiadomością z radiowęzła, że generał X za chwilę nas odwiedzi. Przyleciał z Anglii na wizytację dywizji. Myślę sobie, o wciorności, jeszcze jego tu brakowało?! Niech nas przynajmniej zastanie w warunkach nie koszarowych, a przy pracy!

Brudni, spoceni, nie myci od tygodnia i z tygodniowym zarostem na twarzy, battle-dressy poplamione, zakurzone — stanęliśmy jak skazańcy, których nareszcie dosięgła sprawiedliwość. Był to jeden z licznych generałów, którzy jak pszczoły do ula zlatywali się do Londynu. Nazwiska już nie pamiętam; wiem że był w ZSRR, skąd przyjechał na Bliski Wschód, i tak jak my wszyscy, trafił do Anglii i do „Rubensa”.

Ustawiłem wojaków w dwuszeręgu. Jakaśmy mogli, także my wyrównali, odliczyli, stanęli na baczność i spojrzeli w stronę nadchodzącego generała. Podbiegłem w jego stronę, aby zameldować, co ja za jeden i jakich mam współników do roboty. Generał był „człowiekiem ludzkim”. Wyrozumiały, stateczny, miły w zachowaniu i jak na generała — niebywale grzeczny. Chciał znać nas wszystkich, nasze kłopoty, nasze bolączki i nasze zachcianki i pragnienia. Po krótkiej wymianie kurtuazyjnych frazesów powitalnych, kilku słówach o tym i owym, podszedłem do dwuszeręgu, aby pluton po wojskowemu przedstawić.

Generał się zachnął, kiwnął ręką, że to wszystko zbędne i zamiast gromkiego „czolem panie generale”, generał witał się z każdym po kolei, pytał o rodziny, ojców, żony; z górnikami z Lille rozmawiał lepszą francuszczyzną niż oni, z westfalakami po niemiecku i tak na końcu plutonu doszedł do kaprała S. Zanim ten zdążył zasalutować, generał porwał go w objęcia, powiedział coś po rosyjsku i obaj się rozplakali!

Wizyta generalna przedłużyła się o jakieś dwie godziny. Teraz wszyscy siedzieliśmy na małej polanie, generał w środku,



Na granicy belgijsko-holenderskiej, zdjęcie przeze mnie zrobione. Na pierwszym planie — por. S. Wainberger, dowódca plutonu. W lewym rogu, w czarnym kombinezonie — „Wołodia”, były marynarz słodkich wód, kierowca beczkowszu.

kapral S. (Wołodia, nareszcie dowiedzieliśmy się, że on ma ten przydomek) tuż przy nim, każdy z manierką pełną koniaku, który „Wołodia” — jako środek leczniczy — zawsze ze sobą wozil. A ileż było opowiadań, wspomnień, wzruszenia z czasów pobytu w dzikich stepach za Uralem! Poznali się w jakimś obozie w ZSRR przy wyrębie lasu. Generał był tam felczerem (jako były student medycyny z Paryża), a Wołodia „robił wszystko w obozie”, aż pewnego dnia drzewo, które ścinali, spadło mu na nogę i wtedy poznał felczera, i dzięki niemu jako „ułomny” dostał się na „parochód”.

Był nie tylko wozowodą i „wozipsyrtusem”, ale także dobrotnym człowiekiem potrafiącym okazać pomoc ludności cywilnej. Od amerykańskiej „First Aid” „wykosmacił” kilka paczek czekolady po tuzin tabliczek, którą w prezencie gwiazdkowym obdarował sierocińce w Bredzie. Jadąc po wodę lub wracając do obozu, zawsze zabierał jakąś rodzinę powracającą z wojennej wędrówki.

Niedaleko Tielf, między Gandawą a Dunkierką, z dala od drogi leży małe siółko de Rethy, wioska znana z dość dużego jeziora, którego dzierżawcą był Żyd z Holandii, ojciec dorodnej i kształtnej córki z burzą kaszta-

nowych włosów i o gwałtownym temperamencie.

Taki okaz trudno ukryć w malutkiej Belgii.

Toteż król Belgów, Leopold, po śmierci żony, która zginęła w wypadku samochodowym, swoje zainteresowania zwrócił w stronę „Księżniczki de Rethy”; takie złośliwe miano zyskała ta dama wśród belgijskich katolików.

W czasie okupacji życie mieszkańców wioski było dość trudne, zresztą jak wszędzie w czasie okupacji. Niemcy wywieźli dzierżawcę jeziora, ale córka została z królem, u którego zyskała wiele względów, toteż zaczęła rządzić w pałacu jak szara gęś, rozstawiając służbę po kątach. Nad jeziorem — jej własnością — ustawiła żelazną wartę z pełną aprobatą Wehrmachtu. Wojna skończona. Ktoś z wioski pomyślał, że należałoby poprawić życie mieszkańców wioski i czasowo zawładnąć jeziorem, zanim zjawi się właściciel.

Znalazł się wszędobylski Wołodia!

On już tam był, wszystko spenetrował, znalazł starego rybaka z łodzią i mówi do mnie — mam nawet talerzową minę niemiecką (20 kg), lont, spionki, wszystko jest — wysadzi się ją na środku jeziora, pan poruc-



nik jako saper wie jak to robić, a ja dopomogę, itd., itd. Przecież nie będziemy stali jak na weselu — z wędkami wokół jeziora w tatarakach i sitowiu, jezioro zarasta, należy się pośpieszyć!

Po takim exposé należało czym prędzej jechać.

Jezioro dość okazałe — trzy razy większe od stawu na Rejowie Tu i ówdzie brzeg zarosnięty tatarakiem i rokitą. Jadąc wokół znaleźliśmy łatwy dostęp do wody. Tam już czekał rybak Ambroży z łodzią.

Jak gdyby nigdy nic, wskoczyłem do łodzi trzymając za rączkę minę uzbrojoną w spionkę z lontem. Ambroży przeżegnał się i z trwogą popatrzył na mnie. W najlepszej flamandczyźnie krzyknąłem: „Nagaan voruit!” (jędź do przodu). W przerażeniu ciągle patrząc na minę, załopotał wiosłami i za chwilę byliśmy na środku jeziora. Po sapersku zapaliłem półmetrowy lont i aby chłopą więcej nie turbować, spokojnie powiedziałem: „Nach Rand zurück, schnell!” (na brzeg z powrotem, a żywo). Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to „schnell”. Chłop się porwał do wiosel i z miejsca jedno złamał. Nasze szczęście, że płaska mina tonąc opadała „listkiem” i z każdą chwilą od nas się oddalała.

Gdzieś za pół minuty — głucha detonacja. Półmetrowy słup wody i cała fura szuwarów i liści z dna jeziora dały znać, że już jest po wszystkim. Płynęliśmy do brzegu wśród srebrzystej fali lipieni, karpi, karasi, linów i szczupaków, a nawet węgorze i tęczowe pstrągi były okrasą tej rybniej rodzinie.

Tego wieczora Wołodia zjechał 3-tonowym wozem i zabrał swój przydział. Dla kogo? Ludzie z wioski de Rethy, jak jeden mąż łowili ryby do ciemnej nocy.

Kiedyś, już po wojnie, od pewnego Brazylijczyka z byłej czołówki, który wracając do domu zawadził o Glasgow, dowiedziałem się o dalszych losach Wołodi. Wołodia ryby sprzedawał do trzech hoteli w Gandawie, podobno za dobrą gotówkę. Wziął masło z Francji do Holandii i robił pomniejsze handeleki. Ale handlując — zmadrzał. Zaczął pobierać opłaty od każdej trans-

akcji. Pieniądże lokował w holenderskim banku oraz w przekazach (Postal Ordes) poczty brytyjskiej, które wysyłał do banku w Londynie. Gdzieś za Renem wojaczka mu się sprzykrzyła, zasymulował chorobę żołądka, i po miesiącu był w Londynie.

Tutaj też długo nie zagrzał!

Po załatwieniu pieniężnego transferu wyjechał do Południowej Afryki. Do nikogo nie pisał — spalił mosty za sobą.

\* \* \*

Pewnego pięknego jesienno-popołudnia, o parę kilometrów od Cassel, niedaleko granicy belgijskiej, stanęliśmy na wyznaczonym m.p., aby wydzielić nasz towar oddziałom pierwszego rzutu. Widzę jednak, że na polnej drodze, zamiast oczekiwanych wozów naszej dywizji ukazał się korowód limuzyn wojskowych — duże humbry — zmierzających wyraźnie w naszą stronę.

Podchodzę z pewnym zakłopotaniem: kogo ja tutaj będę witał?

Z pierwszego humbry wychodzi dowódca naszego Ośrodka Zaopatrzenia i Dywizji Pancerniej, za nim kilku oficerów brytyjskich, dalej sześciu eleganckich Czechów. Ale co za elegancja! Przyjechali z Anglii wprost do Dunkierki: jeden czeski batalion pancerny. No i chcąc się zapoznać z naszą służbą, przyjechali nas odwiedzić, zobaczyć, pogadać i popatrzeć na naszą robotę.

Choćaż tego dnia byłem umyty i ogolony, to jednak daleko mi było do wyglądu pobratymców zza miedzy. U nich wszystko jak spod igły. Czyste i wyprasowane spodnie i battle-dressy pasują jak ulał niższym frak do wiedeńskiego walca, buty lśnią wywaksowane, na pewno pastą „kiwi”, ogoleni 2 mm pod skórą, a ja, nieszczęśliwie, pożał za Boże! Zakurzony, rozdarte spodnie na kolanach zaczerowane agrafkami. Widok godny żalu i litości.

Całe szczęście, że rycerscy wojacy okazali się kulturalną zgraną paczką dowcipistów godnych ich kuzyna, dzielnego wojaka Szwajkara.

Wołodia podsunął dwie butelki koniaku i tak rozpoczęliśmy

strzępić języki — tylko po czesku i po polsku! Pytam przystojnego kapitana: „Czemu panowie tak późno do nas dołączyli?” Spojrzał na mnie i przymrużył oko... Zdaje się, że tym powiedział całą prawdę o ich zmaganiach w oswobodzeniu Europy...

Wszyscy wiedzą, że handel rubinami, szafirami i diamentami ma powiązania z Amsterdamem. Drugą stolicą tych kamyków jest Londyn; tak przynajmniej było do czasów wojny. Tuż po wojnie interes ruszył pełną parą. Nieoficjalnie. No i ktoś tutaj, mógł być asem handlu pomiędzy Holandią a Londynem, jak nie nasz L. Rochlin! Już na terenie Belgii wdał się w komitywę z pilotem RAF-u, także Żydem, który dwa razy w tygodniu dostarczał części zamienne oraz inny ekwipunek do samolotów na jedno z nowo otwartych lotnisk polowych w Belgii. Trzy razy pilot zabierał „kamiki” od Rochlina i dostarczał do Londynu i tyleż razy przywoził gotowe diamenty z powrotem. Jaki był między nimi rozrachunek — nikt nie wie; Rochlin nikogo nie wtajemniczał w swoje sprawy, ani nie pysnił się osiągnięciami zarobkowymi. Ale po słynnym uderzeniu feldmarszałka Rundstedta na Ardeny koło Luksemburga oraz rozproszeniu jego słynnych szpiegów i dywersantów, kontrola drogowa Armii Brytyjskiej położyła kres wszelkim wypadom o charakterze prywatnym bez zezwolenia dowódcy dywizji. Mielśmy tylko prawo pierwszeństwa przejazdu, podany cel, kierunek i czas jazdy oraz ładunek, który był ciągle sprawdzany. Skończyły się czasy swawoli i kupczenie poprzez granice państw, któreśmy tak wspaniałomyślnie oswobodzili.

\* \* \*

Nie wiem czy mam się uważać za pechowca, czy też za szczęśliwca...

Dojechałem z dywizją zaledwie do Renu, a tu mówią, że w Szkocji potrzebny jest rzutki i doświadczony oficer benzynowo-żywnościowy do szkolenia uzupełnień zaopatrzeniowych dla Dywizji Pancerniej w Niemczech. Naturalnie, starym zwyczajem wydelegowano mnie. Nigdy się nie opierał, nie



Tak wyglądałem (pierwszy z lewej) w Armii Brytyjskiej w 1940 r. Stoimy w hełmach „Patrol Wybrzeża”. Pięciokilometrowy odcinek St. Andrews — Tayport patrolowaliśmy dwa razy dziennie.

krzywił, nie sarkał i nie prosił o zmianę rozkazu, jak to robiło wielu innych. Dla mnie wszelkie dowódcze postanowienia były święte. Rozkaz przyjąłem do wiadomości, a zarazem przeniosłem się myślą do czasów, gdy moje wojskowe życie upływało w ciągłej delegacji.

Kiedyś, a było to wówczas, gdy zaczęto tworzyć armię polską w ZSRR, mieliśmy wysłać instruktorów do każdej broni formujących się oddziałów tamtejszych dywizji. Zaczęły się narady i odprawy. W końcu z całego batalionu saperów wybrano trzech instruktorów: por. Wiktora Szymkiewicza, plut. pchor. Longina Plucińskiego i mnie.

Naszą wyprawę pokryto całunem tajemniczości, aby zadaniu dodać posmaku ważności. Wyglądało na to, jak byśmy jechali na „przespłegi” i gdyby nasza obecność wykrył, broń Boże, admirał Canaris, toż to byłby skandal międzynarodowy!

Na odprawie u dowódcy kompanii, gdzie obecni byli oficerowie naszego i brytyjskiego wywiadu, powiadomiono nas, że odjedziemy z konwojem okrętów handlowych do Murmańska. Zostaniemy zaokrętowani na brytyjskim kontrtorpedowcu. Nie wolno nam znać ani numeru, ani nazwy tego okrętu, a podczas podróży mamy się

dzieć jak mysz pod miotłą i nie wychodzić z kajuty na pokład. Po wyjściu z namiotu dowódcy mieliśmy natychmiast się spakować i czekać. Nie wolno nam było nigdzie się oddalać, bo w każdej chwili mógł podjechać wóz, aby nas zabrać do portu.

Po ośmiu dniach zabrali Plucińskiego. Było miejsce tylko dla jednego. Mnie zabrano na drugi dzień wśród ciemnej nocy (te rzeczy robi się tylko po ciemku) i ulewnego deszczu. Wyszadli mnie na molo jakiegoś portu. Oczekujący marynarz podprowadził mnie do burty okrętu, kazał skakać na pokład i rzucił za mną mój żołnierski dobytek.

W małej kajucie zastąpiłem jakiegoś porucznika piechoty. Siedzieliśmy naprzeciw siebie na pryzkach z siennikami wypchanymi morską trawą. Zapaliliśmy „capstain”, jak na marynarzy przystało, i zaczęła się rozmowa.

— Panie, co ja za specjalista? Wysłali mnie, aby się mnie pożywić, abym w kasynie nie brudził i nie pyskował. Trafiła się okazja, to mnie zrobili specjalistą! A pan w czym przeszkobał?

— Ja, panie poruczniku, jestem urodzonym pechowcem. Spokojniak, zrównoważony, nie wadzi nikomu i „czołga” się po linii najmniejszego oporu...

Wszedł marynarz z nowiną, że zanim wyruszymy, czeka na nas kolacja w małej kuchence. Jakaś zupa w kubku, pajda chleba; dużo i smacznie, co przyjemnie wyrokowało o podróży w nieznane... Jeszcze papieros na pokładzie, aby nie zadymić kajuty i natychmiast zapadliśmy w sen.

Ktoś zapukał do drzwi. Wyrwałem się ze snu: w takich okolicznościach na morzu nie nie wiadomo! Wszedł porucznik marynarki — dwie złote obrycze na rękawie, i z wyrazem zaciekawienia zapytał czy podałem nam ktoś do wiadomości, jakie obowiązują przepisy na okręcie RN podczas wojny. Obudziliśmy naszego towarzysza podróży. Siedząc na pryzkach słuchaliśmy. Z uwag, któredyś i jak najszybciej wydostać się na pokład, jedno było najważniejsze — pas ratunkowy tuż pod ręką! Najlepiej w nim spać! Tak też uczyniłem.

Wkrótce ruszyliśmy. Noc minęła spokojnie. Po wczorajszej ulewie wstawał pogodny dzień. Wyszedłem na pokład. Jak okiem sięgnąć pełno statków różnej wielkości i różnej narodowości aż po sam horyzont w stronę Wysp Owczych — a nawet za horyzontem smużki dymu świadczyły o wielkości konwoju.

Byliśmy gdzieś na wysokości wyspy Smöla lub Fröya, tuż u wybrzeży Norwegii, gdy syreny oznajmiły alarm lotniczy.

Marynarze założyli hełmy i obsadzili stanowiska dział przeciwlotniczych, a nam, szczerom lądowym, nakazano schować się do kajuty. Wkrótce rozległy się, znane nam z polskiego września, diabelskie wycia pikujących samolotów, wybuchy bomb, które spadły do wody. Ale jedna trafiła dziób naszego okrętu — tuż na samym czubku — robiąc dziurę. Zalało przednią komorę okrętu. Innych uszkodzeń nie było, natomiast nasza korweta utraciła szybkość i zaczęła zostawać za konwojem.

Co robić? Po krótkiej naradzie z dowódcą konwoju na krążowniku zapadła decyzja, że zawracamy do Szkocji. Ale ani ja, ani mój towarzyszący podróży nie wiedzieliśmy o tym. Siedzieliśmy w kabinie z duszami na ramieniu, przekonani, że za chwilę trzeba będzie skakać do wody (pasy ratunkowe mamy cały czas na sobie), a tu nie. Po wybuchu nasza korweta wróciła do pozycji poziomej, czekamy i czekamy, nikt nas nie informuje, co się stało, silniki okrętu pracują jak przedtem, a więc zwaliliśmy się do koi. Zmorzył nas tak mocny sen, że marynarzowi, który dwukrotnie przychodził, by nas pocieszyć i pożywić, nie udało się nas zbudzić. Całą noc i pół następnego dnia wracaliśmy do domu. Gdy ustała praca silników — wyjrzelśmy na świat i — cóż za zaskoczenie — zamiast ośnieżonego portu w Murmańsku naszym oczom ukazały się zielone pagórki i kosmaty, kamienisty brzeg Montrose.

Wróciłem do mej „starej” jednostki w Barri Camp koło Dundee. Długo opowiadałem moje przeżycia z wycieczki po Morzu Północnym.



CDN

JOZEF Z. GŁOGOWSKI



# OPOWIADANIE

## Stacja Dokądś

Henryk Kawiorski

**Z**YCIE szybko przeleciało Witowi Jurko, jakby zdjął z półki książkę, przeczytał tu i ówdzie po zdaniu, po akapicie, zamknął i odstawił.

Tak prędko, jak i te widoki za oknem pociągu zdążającego do stacji Dokądś. Las sośnowy. Most. Kanały. Łąka ze stadami bydła i owiec. Miasteczko z ratuszem. Wieś wśród sadów. Pojedyncze ludzkie sadyby. Kolumna ciężarówek wojskowych. Drużyna harcerek na wycieczce krajoznawczej. Zdechły pies na polnej ścieżce. Machające rękami dzieciaki. Pierzyna na płocie. Grabie oparte o płot. Głos sygnaturki. Dopiero budka droźnika, już skład drewna przy tartaku, dopiero wiadukt, już fabryczka. Mignęło, uciekło.

W przedziale pociągu pospiesznego przebywało czworo

pasażerów. Matka z córką, watsaty młodzian i Wit Jurko. Matka zajęta była motkiem wełny i drutami. Spod jej śmigłych palców spływał na podótek rękaw od swetra. Córka czytała książkę. Młodzian łakomie studiował urodę i strój dziewczyny. Wysiadł po godzinie. Dziewczyna schowała książkę do nesesera, wtuliła się w kąt przy oknie, skrzyżowała dłonie pod piersiami i zapadła w sen.

Matka była kobietą w całym tego słowa znaczeniu dojrzałą. Na palcach miała cztery złote pierścionki. I ani śladu obrączki. Liczyła oczka, bezgłośnie poruszając wargami. Pięćdziesiąt sześć, siedem, osiem...

Różnica wieku między Witem Jurko a tą szwaczką sięgała dwudziestu lat. W porównaniu z nim była młodką. Nie wiado-

mo, mężatka, rozwódka, wdowa czy panna z dzieckiem. Nieugadana jakaś.

Pociąg żarliwie polykał kilometry, słupy, szlabany, przystanki. Szosa. Komin. Wierzby nad strumieniem. Gołe pole, opatulone we wczesnojesienną mgłę niby w kaczki puch. To już jesień życia. Mało szans, żeby doczekać dwutysięcznego roku. Końca świata, co prawda nie zapowiedziano, ale na pewno będą świeckie i kościelne brewerie, pochody, śpiewy, modły, kazania. Jeszcze kilkanaście tych jesieni. Jurko miałby wtenczas osiemdziesiąt sześć lat. Nie da się tego ukryć. W dowodzie osobistym stało czarno na białym. Nad jego kołyską grzmiały działa pierwszej wojny. Pamiętał kryzys, kiedy to ojca wysłano z biura na bruk. Wita przyjęto do huty szkła za połowę płacy wykwalifikowanego robotnika. Pobudka o czwartej. Chleb razowy z małym smalcem, bawarka w butelce i dwanaście do czternastu godzin w pakowni. Redukcja załogi i koniec z hutą. W domu pijany ojciec i matka klepiąca pacierze. Kto nakarmi pięć gąb jak nie najstarszy syn Wit? Nosił po domach węgiel i drewno na opał, zamiatał dworzec kolejowy, malował farbą olejną żelazny most, kradł owoce, warzywa, drób, króliki, gołębie, za niewielką opłatą układał okolicznościowe wiersze i przemówienia. Choćby to, na cześć właściciela cukierni:

*Jadą na stół pączki  
z pana Szmurka raczki  
kto je skosztuje  
ten nie pożałuje...*

Wiersz, odczytany podczas biesiady urodzinowej cukiernika, miał czternaście strofok. Tyleż złotych polskich odliczono utalentowanemu wierszoklecie.

Wiele radości dostarczył Wit Jurko żalobnikom, komponując epitafium następującej treści:

*Dziś opłakujemy  
Będziuchowego syna  
co się zastrzelił ze swego  
karabina  
był to chłopiec miłosierny  
Bogu i ludziom wierny  
zawsze chętny do pomocy  
pannom wdowom i mężatkom  
w dzień i w nocy...*

Gdyby nie wojna, niechybnie zostałby poetą — dziadem. Gdy-



by nie wojna, byłby kimś innym, iż jest. Wojna rozniósła w drzazgi dom i rodzinę Jurków. Ojciec poszedł na wojnę i zginął. Witem miało to tu, to tam. Uciekał, uciekał, uciekał. W czterdziestym trzecim wstąpił do partyzantki, w czwartym wziął ślub, w szóstym trafił za grube mury, na długich sześć lat.

Zero było od początku magiczną liczbą Wita Jurko.

Kłęk wełny spadł z kolan przadki. Jurko pospieszył z pomocą. Stuknęli się głowami, aż odskoczyły. Rozcierając obolałe miejsca, uśmiechnęli się do siebie na przeprosiny.

— Daleko panie jadą? — zagadnął.

— Dosyć. Dopiero na wieczór będziemy.

— Czy to będzie dom?

— Z domu wyjechałyśmy. Córkę wiozę na studia. Biedaczka nie dostała akademika. Poszukamy jakiejś stancji.

— Jaki kierunek wybrała?

— Medycyna.

— Trafny wybór.

— Córką też tak uważa.

— A pani?

— Moje zdanie ma tu niewielkie znaczenie. Praktycznie żadnego.

Dom, rodzina, potomstwo, drobek? Siódmy wymiar dla Wita Jurko, obywatela złotej jesieni. Pieniądze, jakie zdobył, przecieki między palcami. Kobiety jego życia co do jednej odeszły za głosem rozsądku. Jedyną rzecz, jaką posiadał na własność, drewniany domek z ogródkiem, sprzedał poprzez ogłoszenie w gazecie. Zadał trzyśta, otrzymał dwieście tysięcy. Doktor od babskich dolegliwości z żoną artystką od siedmiu boleści szukali przystani na łonie natury. Gdyby się z nimi potarmosi, potargował... Próżny lament po szkodzi. Dali, ile dali. Mogli dać jeszcze mniej. I tak by im też chatę odstąpił, bo mu do ena obmierzała.

Znów umykał, od znajomych ludzi i kątów, od wspomnień, od przeszłości.

Całe długie życie planował długą podróż za góry i oceany. Nici z tych planów wynikły. Zamiast do Hiszpanii, Meksyku czy Indonezji jechał Dokąds. Aby gdzieś lecieć, żeby był jakiś rus... Cóż, że po sześciu latach został ułaskawiony i przywrócono mu

człowieczą cześć i godność. Cóż, że wymazano plamę z papierów. Pamięć została i świadomość krzywdy. I samotność po odejściu żony. I niewiara, że cokolwiek go spotka dobrego. Zmienił adresy i zawody. Księgował dochody i wydatki w rolniczym gospodarstwie uspołecznionym, prowadził punkt skupu jajek, handlował po jarmarkach artykułami gospodarstwa domowego, pilnował placów budów, kopał rowy melioracyjne, palił w piecach centralnego ogrzewania itd. Dochrapał się siwych włosów, reumatyzmu i skromnej renty.

Stacja Dokąds... Dawno nie gościł w tym mieście. Wysiadł z pociągu. O, nowy dworzec. Naprzeciw dworca hotel z kawiarnią. Na lewo kwatery wieżowców, na prawo dwupasmowa jezdnia, na wprost postój taksówek. Stał w kolejce jako dwudziesty któryś.

— Dokąd? — spytał kierowca dużego fiata.

— Naokoło miasta.

— Jak to naokoło?

— Normalnie. Nie byłem w tym mieście prawie trzydzieści lat.

— Mieszkał pan tu?

— Ponekąd.

Dwie godziny krawyli ulicami, zanim Wit Jurko polecił zatrzymać taksówkę w pobliżu czteropiętrowej kamienicy i zapłacił rachunek. W tym bloku, jeśli nie się nie zmieniło, mieszkała jego była żona Sabina. Nie mieli dzieci, toteż nie ich nie łączyło, oprócz krótkiego pożycia, oprócz skrupułów i wzajemnych pretensji. Listy, jakie do niej pisał z propozycją pojednania i wybaczenia, pozostały bez odpowiedzi. Młynskim kamieniem ciążyła Witowi Jurko obojętność i milczenie Sabiny. Pojął ją za małżonkę wiedziony szczerą, głęboką miłością. Jeśli zawinił, to wobec kogo innego. Jeśli zawinił, winę opokutował, odplacił z lichwiarskim procentem. Nikogo nie zabił, nie ograbił, nie podpalił. Poblądził. To była jego i wina, i kara.

Postanowił spróbować ostatni raz. Argumentem miały być pieniądze. Dwieście tysięcy Sabina, o czym wiedział od wspólnych znajomych, od paru lat była wdową. Córkę wyedukowała na dentystkę, syna na inżyniera. Nie nie stało na przeszkodzie,

aby wróciła do Wita, aby po czterdziestu latach znowu się połączyli. Co by jej szkodziło. Starzy są oboje, coraz słabsi, coraz bliżsi wieczności. Ile lat pożyją, sześć czy czternaście? Kto w chorobie poda szklankę wody, zmieni okład, wesprze słowną pociechą? Coś dać z i od siebie, to także przyjemność. Na obiad zupa błyskawiczna. Na noc materac na podłodze. Wit Jurko osiągnął ów wiek, kiedy wymagania spadają do minimum. Pół kilo ciepła, dwadzieścia deko serdeczności, szczypta uczucia, ząbek otuchy, uścisk dłoni, współczujące spojrzenie, kwiaty w oknie. Wegetacja, albo spełnienie. Czy to tak dużo jak na siedemdziesiąt lat życia?

Na drzwiach wisiała zardzewiała metalowa tabliczka z ledwo czytelnymi literami. Sabina i Bolesław Wiśniewscy. Jurko nacisnął guzik dzwonka, lecz dzwonek nie działał. Zapukał. Dało się słyszeć szuranie bamboszów po parkiecie i astmatyczny oddech.

— Kto tam?

— To ja, Wit Jurko. Otwórz, jeśli łaska.

— Czego chcesz?

— Szklankę wody.

— Nie ma wody.

— Byłem twoim mężem!

— Dawno temu.

— Mam przy sobie harmonię pieniędzy!

— Komu je ukradłeś?

— Dwieście tysięcy za szklankę wody. To uczciwa zapłata!

— I milion mało.

W desperackim odruchu szarpnął za klamkę. Ku jego zaskoczeniu, drzwi ustąpiły. Wcale nie były zamknięte. Kościstego Wita i pulchną Sabinę dzielił tylko kamienny, wyszczerbiony próg.

— Proszę o szklankę wody. Wypij, zapłacę i odejdę!

— Kiedy wody naprawdę nie ma. Od wczoraj. Rura pękła.

Z góry na dół, na złamanie karków, pędziła wataha dzieci. Trzyletni brzdąc zdzisił Wita chabiną po nogach.

— To już, wejdz — powiedziała Sabina.

— Brak mi sił.

— Ależ próg jest taki niski!

— Na oko tak.

HENRYK KAWIORSKI

# Specjalne względy dla oficyny

**W**IES Sycyna koło Zwolenia stała się słynna z dwóch powodów. Tutaj w 1530 roku przyszedł na świat książę poetów, Jan Kochanowski. 450 lat później, w Sycynie, koło stawów, archeolodzy odnaleźli i odkopali resztki dworu z czasów pasujących jak ulał do okresu, w którym mieszkał tu Piotr Kochanowski (ojciec Jana) wraz z rodziną i gdzie, według wszelkich danych, urodził się sam poeta. Sensacyjna wiadomość obiegła prasę krajową, a odkrycie zostało uznane za jedno z ważnych wydarzeń w latach obchodów rocznicowych Jana Kochanowskiego (1980—1984). Aliści nie wszystko piękne, co się piękne zdaje na początku. Tuż po pierwszych odkryciach archeologicznych wkroczyły koparki i zniszczyły część relikwów dawnej budowli, a w pobliżu stanął wielki betonowy bunkier czyli szambo. Okazało się, że projekt rozbudowy mieszczącego się tu gospodarstwa rolnego, które należy do Technikum Rolniczego w Zwoleniu powstał na długo przed odkryciem dawnego dworu. Budowniczości po prostu realizowali plan — a Kochanowskiego plan nie przewidywał.

W obliczu zagrożenia podniesiono alarm, pojawiły się stosowne artykuły w prasie, wojewódzki konserwator zabytków wezwał ekipę ratowniczą. Archeolodzy wrócili, zabezpieczyli, co się dało, a użytkownik terenu, rad nierad, musiał inwestycje zlikwidować. Wkrótce potem badacze odsłoniли szczęśliwie prawie całkowity zarys dworu. Jeden z architektów pokusił się nawet o rysunkową rekonstrukcję budynku.

Zbadano, stwierdzono i — co dalej z tym fantem? Jedyne logiczne rozwiązanie samo się nasuwało: wydzielić strefę ochrony konserwatorskiej w pobliżu odkryć, wyeksponować w sposób czytelny zarys murów dawnego dworu, pomyśleć o właściwej informacji. Krótko mówiąc: stworzyć projekt zagospodarowania terenu, a potem przystąpić do realizacji. I takie kroki podjęto. Wojewódzki konserwator zabytków w Radomiu zlecił wykonanie projektu architektowi Michałowi Smoktunowiczowi z Politechniki Warszawskiej.

Tymczasem w miejscu sycyńskich odkryć nie się nie działo, a jeżeli już — to na niekorzyść całej sprawy: rów wykopany na granicy strefy ochronnej naruszył mury, które potem szybko zasypano, budynek oficyny dworskiej z końca XIX wieku (na terenie strefy) popadał w coraz większą ruinę. W prasie ogólnopolskiej ukazywały się ostre artykuły w tej sprawie, utrzymane w tonie — mówiąc łagodnie — bezpardonowym. Atakowano administrację wojewódzką, a szczególnie wojewódzkiego konserwatora zabytków. Odzywały się głosy zaniepokojonych społeczników. Rolę mediatora próbował odegrać „Tygodnik Radomski”.

W czerwcu br. wojewódzki konserwator zabytków zorganizował w Zwoleniu zapowiadaną od dawna radę, poświęconą prezentacji projektu zagospodarowania strefy ochrony konserwatorskiej w Sycynie oraz jego realizacji. Przybyli m.in.: autor projektu, zastępca naczelnika, przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Zwolenia im. Jana

Kochanowskiego, przedstawiciele Muzeum Okręgowego w Radomiu oraz Biura Badań i Dokumentacji Zabytków, dyrektor Technikum Rolniczego w Zwoleniu oraz szef należącego do szkoły gospodarstwa pomocniczego w Sycynie.

Projekt daje propozycje oddzielenia zieleni (krzewy różnej wielkości) terenu gospodarstwa od miejsca odkrycia relikwów dworu i najbliższej okolicy. Zarys fundamentów budynku też ma być zaznaczony przy pomocy roślinności (rozchodnik w betonowych pojemnikach). Częściowo odtworzony zostanie istniejący tu dawniej drzewostan, m.in. aleje kasztanowe i droga wzdłuż stawu, wysadzana drzewami. Całość, otoczona od strony drogi stylizowanym płotem, ma mieć charakter parku.

Projekt nie wzbudził większych kontrowersji, ale jak bumerang wróciła sprawa oficyny dworskiej: zostawić czy rozebrać? Konserwator stwierdził, że obiekt nie jest zabytkiem architektury, nie ma też bezpośredniego związku z rodziną Kochanowskich. Jego obecny stan, według ekspertyzy, uniemożliwia prace remontowe, a przynajmniej czyni remont niezwykle kosztownym. Czyli — nie warta skóra wyprawki, a do tego kieszeń konserwatora pusta, bo w roku bieżącym, zamiast potrzebnych 450 milionów złotych otrzymał on na remonty tylko 120 milionów. Konserwator nie upiera się przy likwidacji oficyny, widzi nawet możliwość rekonstrukcji obiektu, ale tylko na koszt użytkownika.

Dyskutanci (red. Kazimierz Bošek z „Literatury”, społecznicy zwoleniscy oraz autor projektu), wytoczyli argumenty nie mniej ważne na rzecz zachowania oficyny. Sycyna staje się faktem kulturowym i to w skali kraju. Nie można nie brać tego pod uwagę. Przytoczona została opinia naukowca, profesor Marii Brykowskiej, według której oficyna, jako pozostałość dawnych założeń dworskich, jest jedynym widocznym łącznikiem prawie pięciu wieków tradycji osadniczej tego miejsca. Ukazywano też szansę (przedstawiciele Muzeum Okręgowego) ewentualnego wykorzystania budynku dla celów kulturalnych, a w szczególności jako punktu ekspozycji i informacji.

Sprawa programu użytkowego nie została na razie rozpatrzona w sposób wszechstronny i powinna niewątpliwie stać się tematem odrębnego spotkania.

Projekt zagospodarowania (notabene uwzględniający zachowanie oficyny) został przyjęty z małymi poprawkami. Co do realizacji — na zasadnicze pytania: kto, kiedy i za co — uzyskano odpowiedź tylko częściową. Ciężar realizacji przypadł Technikum Rolniczemu w Zwoleniu, jako właścicielowi gospodarstwa. Kiedy? Najwcześniej od przyszłego roku i to w miarę możliwości finansowych. Pytanie: za co? — zawisło trochę w próżni, szkoła bowiem musi uzyskać dodatkowe dotacje. Wspomnięno tu o pieniądzach „na Sycynę”, obiecanych przez wicewojewodę radomskiego w okresie obchodów rocznicowych.

Nie wszyscy uczestnicy narady byli usatysfakcjonowani jej przebiegiem. Nie zapadły ostateczne decyzje co do budynku oficyny. Sprawę ma przesądzić opinia znanego specjalisty, profesora Teli-gi powołanego przez wojewódzkiego konserwatora zabytków. Zarówno w przypadku remontu, jak w sumie tańszej rekonstrukcji obiektu, potrzebne będą niemałe fundusze. Obiecało zabiegać o nie z właściwym sobie uporem i nawet na wysokich szczeblach Towarzystwo Miłośników Zwolenia im. Jana Kochanowskiego.

## listy

## „DOM”

Z uwagą przeczytałem artykuł Jadwigi Karolczak pt. „Dom”, zamieszczony w Waszym miesięczniku, numer czerwcowy z br. Wzbudził on we mnie bardzo mieszane uczucia, dlatego iż odlega od obiektywnej prawdy, gdyż zawiera wiele nieścisłości i błędów.

1. Schronisko im. Brata Alberta dla Samotnych Matek w Łukowej powstało staraniem Koła Towarzystwa Pomocy im. Adama Chmielewskiego w Kielcach, nie montu starej plebanii w Łukowej, przeznaczonej na Schronisko dla Samotnych Matek odczytuję się (pełne remonty wewnętrzne, aby dom nadawał się do zamieszkania i nadał się odnowa (zmiana dachu, zewnętrzne tynki), z funduszów Towarzystwa Pomocy im. Adama Chmielewskiego.

2. Domowa buchalteria, a więc utrzymanie matek i kierowniczek w Schronisku pochodzi z funduszów Towarzystwa, nie zaś z Kurii Diecezjalnej w Kielcach. Pensja kierowniczek jest wypłacana przez Towarzystwo. Jest ona w rzeczywistości sarnoma – gdy ma się na uwagę jedenaście tysięcy złotych, skoro jednak doliczyć się mieszkanie i wyżywienie, za które kierowniczek nie płaci, bo pokrywa jej koszty utrzymania także Towarzystwo – wydaje się, że wynagrodzenie kierowniczek nie jest „mędne”. Co tyżozien Towarzystwo przekazywało kierowniczek zaliczki pieniężne na wyżywienie i aktualne wydatki, dlatego kierowniczek nie była w sytuacji tak trudnej, aby przeznaczać swoją pensję na utrzymanie matek w domu. Rzeczywiście Ruch Obrony Życia w Warszawie przekazywał ośmiu dwadzieścia tysięcy złotych, dlatego, że przybywały do domu matki, kierowane przez owo warszawskie stowowisko Obrony Życia.

3. Kuria Diecezjalna w Kielcach nieśie szeroką pomoc dla domu w Łukowej z darów przychodzących z zagranicy (łózka, materace, szafki nocne, żywność, bielizna i ubrania), a także usprawnia funkcjonowanie domu poprzez przewóz towarów. Samochód kurialny służy także matkom, gdy zachodzi potrzeba zawiezienia do szpitala, powrotu do domu itp.

4. Problemy opałowe domu zostały rozwiązane pomyslnie dzięki pomocy księdza proboszcza z Łukowej. Otóż dopiero po zarejestrowaniu Koła Towarzystwa Pomocy im. Adama Chmielewskiego w Kielcach dnia 4 listopada 1985 r., można było zabiegać o otwarcie domu w Łukowej i starać się o przydział opału. W tym właśnie czasie proboszcz z Łukowej udzielił dla domu 1,5 tony węgla, 15 stycznia br. przydzielone z GS w Wolicy 6,4 tony węgla, a 25 lutego br. 3,950 kg koksu. Nie rozumiem dlaczego „od dłuższego czasu dom opalany jest po prostu śmieciami i drewnem”.

5. „Zaborczy” – według zamieszczonego artykułu – proboszcz o którymś się pisze: „Wszystko faktycznie” – właśnie on pierwszy ze wspólnoty parafialnej w Łukowej (gdzie jeszcze ludzie o niczym nie

wiedzieli) wyraził chęć oddania domu – starej plebanii na Schronisko dla Matek Samotnych. Umowa dzierżawna zawarta między parafią w Łukowej, a Towarzystwem Pomocy nie została naruszona przez księdza proboszcza. Dlaczego więc te pomowienia? Przejawem życzliwości i otwartości księdza jest fakt, iż pani Maria Hajęcka w pierwszym okresie pobytu w Łukowej (gdzie Schronisko jeszcze nie funkcjonowało), bezpłatnie otrzymywała obiady z plebanii, także inne posiłki – wspólnie z pierwszą matką oraz z jej dzieckiem. Adasiem przeżywała wigilię Bożego Narodzenia na plebanii u księdza.

6. Życie matek – ich przeszłość – nawet gdy zmienia się imiona, sądzić, że powinna być uszanowana przez zachowanie dyskrecji. Każdy człowiek ma prawo do zachowania osobistej tajemnicy życia, chyba że pozwoli innym na jej ujawnienie. Być może, że Autorka artykułu pt. „Dom” otrzymała takie prawo.

7. Ludność w Łukowej jest życzliwa wobec Schroniska i przebywających w nim matek. Pomaga... ale nie jest prawdą, że „dla domu zebrała wies krzesła, bo ich nie było”. Jedynie na otwarcie domu w dniu 21 grudnia 1985 r. pożyczono krzesła z Koła Gospodyń Wiejskich czy od Straży Pożarnej w Łukowej (z powodu licznych gości), ale zaraz je zwrócono. W krzesła i meble Schronisko zostało wyposażone przez Koło Towarzystwa Pomocy w Kielcach.

8. Obok spraw nieznanych Redakcji „Przemił”, a za jej pośrednictwem – nieznanych Czytelnikom są sprzeczności w tekście artykułu. Np. „Jak je (dzieci – mój dopisek) kapac, przewijac kiedy termometr wskazuje i dziewięć stopni powyżej zera?” i dalej czytamy: „Po prostu nie chorują. Świetnie odżywione, codziennie kapane, szczepione terminowo – chowają się wspaniale”.

No cóż... dobrze że ukazał się artykuł pani Jadwigi Karolczak pt. „Dom” o Schronisku Bł. Brata Alberta dla Samotnych Matek w Łukowej. Pozytywnie wskazuje on na to, że dom taki jest bardzo potrzebny, gdyż znajdują w nim schronienie matki, które zostały odrzucone przez najbliższych. W sytuacji „bez wyjścia” dom pomaga znaleźć wyjście. Daje możliwość rozwoju więzi emocjonalnej, psychicznej i osobowej między dzieckiem a matką, co jest niezwykle ważne z punktu widzenia psychologii rozwojowej dziecka.

Zasadniczy błąd, który popełniła Autorka artykułu tkwi w tym, że nie zebrała dokładnych materiałów, być może zbytnio ufając „informacjom” na wiejskiej drodze, gdzie wiejskim obyczajem robi się babkę sejmiki – jak sama pisze. Już starożytni Rzymianie mądre radzili, a co w naszym języku brzmi: „Wysłuchaj i drugą stronę”. Ale pani Karolczak nie chciała słuchać Towarzystwa Pomocy w Kielcach, nie spotkała się z Zarządem Koła, a szkoda, bo nie wprowadziłaby w błąd opinii publicznej. Czytelnika bowiem należy szanować i przekazywać mu obiektywną prawdę.

Prezes Koła Towarzystwa Pomocy im. Adama Chmielewskiego w Kielcach

ks. dr JAN ŚLUDZIAŁOWSKI

Odręka: B. Odpowiedź autorki zamieścimy w następnym numerze.

## plastyka

M IŁOSNICY sztuk plastycznych zapewne pamiętają sprzed kilku lat wystawę twórczości Adama Wolskiego w kieleckim Klubie NOT, gdzie autor zaprezentował projekty i realizacje plastyczne dla zakładów przemysłowych i budynków użyteczności publicznej. Wystawa ta została następnie pokazana publiczności Częstochowy i Warszawy. Obecnie A. Wolski zdecydował się na kolejną wystawę, by przedstawić najnowszy dorobek artystyczny w kontekście dotychczasowych dokonań. Trzy Biura Wystaw Artystycznych (częstochowskie, bielsko-bialskie i kieleckie) prezentują tę bardziej autonomiczną część plastyki autora z Zagnańska (gdzie wystawia większość prac). Na wystawie znalazły się wczesne obrazy olejne epatujące soczystością barw martwych natur i kompozycji, które zapowiadają dalszą drogę poszukiwań dekoracyjnych układów barw i form. Znalazły się również na wystawie polichromowane płaskorzeźby, których monumentalne odpowiedniki lub też zbliżone rozwiązania znamy z licznych realizacji plastycznych w architekturze. Te ostatnie zostały zaszyfrowane poprzez wybrane dokumentacje fotograficzne. Dominują w nich rytmiczne układy ostro ciętych reliefów wzbogaconych miękkimi formami ze swiata przyrodniczego oraz szlachetnym kolorem barwionego drewna. Niektóre z reliefowych kompozycji zostały powtórzone w brązowych, patynowanych przez autora, odlewach. Jest to kolejna propozycja plastyczna posiadająca nie tylko walory większej trwałości.

Obecnie, gdy z różnych powodów rola tzw. sztuki czystej nieco się skurczyła, być może dzieła wpisane w krajobraz publiczny (architektura, lokale, zakłady pracy, obiekty kulturalne) przejmą, przynajmniej częściowo, funkcję nośnika wartości. Pod warunkiem jednak, że ich ranga artystyczna spełni oczekiwania wyższego rzędu, a budzie społeczny nie będzie oszczędzał na kulturze i sztuce.

Oczywiście, propozycje Adama Wolskiego stanowią jedną z wielu możliwości na terenie sztuki, ale – jak dotychczas – nie ma on zbyt wielu skutecznych konkurentów w tej dziedzinie twórczości. Można natomiast spierać się czy przenoszenie monumentalnych propozycji wnętrzańskich na kameralne w końcu płaskorzeźby jest zawsze artystycznie szczęśliwe, ale o tym prawdopodobnie zdecydują ewentualni nabywcy tej unikalnej formy plastycznego u-tworu.



Barbara Kalinowska-Keler

## Poetka

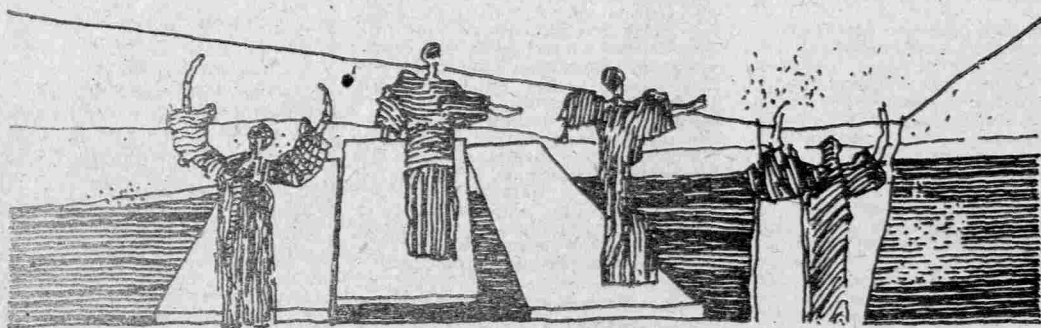
To już noc  
jeszcze czytasz  
Poetka  
ładny profil  
była piękna  
czy nie  
Poetka powinna  
być piękna  
to dodaje  
urody  
jej wierszom  
albo nieszczęśliwa  
to wystarczy  
na legendę  
Poetka  
miała  
chore serce  
Poświęcono  
Jej.  
2 numer  
Poezji 1985  
Tyle dla Niej  
uczyniono  
Poetka  
hasło:  
Halina Poświatowska  
hasło:  
Człowiek  
pozostanie  
większym  
lub  
mniejszym  
hasłem  
albo  
białą plamą

## Zmęczenie

Zmęczenie  
Zmęczenie  
Zmęczenie  
Nic nie istnieje  
jest tylko  
Zmęczenie  
usterki w odbiorze  
widzenia świata  
pole  
widzenia  
zamglone  
Zmęczenie  
kobiet  
dźwigających  
siatki  
Jeszcze jedna  
kolejka  
To już  
czwarta  
dzisiaj  
Jeszcze się  
nie poddać całkowicie  
zmęczeniu  
Duszo  
w małej masarni  
Jeszcze dojść  
do domu  
Jeszcze nie  
stracić  
ostrości  
widzenia

## Czego ode mnie żadasz

Czego  
ode mnie  
żadasz  
by wróciła  
miłość  
ptak  
zaśpiewał  
gdy  
zechcesz  
budząc  
się o świcie  
by  
płacz  
był  
ciszą  
która  
nie  
nadchodzi  
Czego  
ode mnie  
żadasz  
by  
niepokój  
wrócił  
drażąc  
bezsensowność  
tak niepożądaną  
Czego  
ode mnie  
żadasz  
gdy  
chcesz  
być  
kochaną  
a  
świat  
jest  
pęknięty  
na pół



Rys. Tadeusz Maj

teatr

„...to stary

Tuwim

tak nas

rozbawił...”

W FINAŁOWEJ piosence „Zolnierza królowej Madagaskaru”, wystawionego w teatrze radomskim, aktorzy śpiewają:

Żeby jeszcze się pozbierać,  
żeby śmiać się tak,  
jak teraz w RADOMIU.  
Żeby jutro było jutrem,  
By nie padał deszcz za smutno  
Na co dzień.  
Żeby snobizm nie zadreślał,  
Ze w stolicy żyć najpiękniej —  
To szkodzi.

Nie ulega wątpliwości, że sztukę wystawiono w celach „psychoterapeutycznych”, a ponieważ śmiech jest znanym i skutecznym środkiem na wszelkie frustracje, kompleksy i prowincjonalizm, to widzowie otrzymują sporą dawkę humoru, dowcipu i rozbawienia. Nawet przypomniano mieszkańcom Radomia, że stan miasta w 1907 roku był o wiele gorszy i żyło się trudniej, chociaż od maja 1904 roku lampy łukowe oświetlały już ulice miasta.

Jest jeszcze jeden powód, aby traktować tę Tuwimowską farsę „leczniczo”, mianowicie ten, że główny bohater — mecenas Saturnin Mazurkiewicz (Bój się Boga! Mazurkiewicz! Bój się Boga!) — pochodzi z Radomia, jest założycielem, członkiem i działaczem Towarzystwa Cnoty pod wdzięczną nazwą: „Lilia”. Owżem mecenas wyjeżdża do stolicy ze swoim jedyńskim — Kaziem — który znakomicie bawi widzów swoimi indiańskimi wyczynami. Początek

przedstawienia jest niezwykle efektowny. Dzieje się na dworcu kolejowym, gdzie zebrane towarzystwo (tzw. „societa radomska”) żegna Obywatela Saturnina. Obraz jest plastycznie bardzo dobry, bowiem przywołuje na pamięć „Lokomotywę”: „Stoi na stacji lokomotywa”, a zawiadowca stacji (Stanisław Kozyrski) jest znakomitą protoplastą każdego urzędnika PKP. Na pytania oczekujących pasażerów: kiedy odjedzie pociąg do Warszawy, odpowiada: „jak przyjdzie jego czas. Skoro on stoi, to znaczy, że jego czas jeszcze nie przyszedł a jak nie przyszedł jego czas, to on nie może odjechać”. Pan Stanisław Kozyrski, zaciągając śpiewnie kresowym akcentem, pełni swoją rolę doskonale. Przyszedł czas, pociąg rzeczywiście odjechał — tylko bez pasażerów.

Uczeni mówią i „mówią uczenie”, że farsa tym różni się o!

komedii, iż „opiera się całkowicie na dynamicznej akcji, mającej często charakter swobodnej suity scen komicznych czy komiczno-pantomimicznych, nieprawdopodobnych zawikłań i zbiegów okoliczności, nie mających innego celu poza tym, by wywołać żywiołowy śmiech widowni”. „Zolnierz królowej Madagaskaru” spełnia te wszystkie założenia i wymogi gatunku, bo Julian Tuwim, przerabiając dziewiętnastowieczny tekst Stanisława Dobrzańskiego, zadbał o jego komediowy rezonans.

Sztuka Dobrzańskiego „Zolnierz królowej Madagaskaru” wystawiona była we Lwowie w 1879 roku, a wydana siedem lat później. Dobrzański stworzył galerię plastycznych i zabawnych postaci ze świata mieszczańskiego i teatralnego. Nie jest to przypadkowe zestawienie, bowiem dla pierwszego środowiska (mieszczańskiego) teatr był symbolem wszelkiego zepsu-



Elżbieta Miłowska i Andrzej Iwiński

Fot. KRZYSZTOF GAJEWSKI

cia, amoralności, przystawowej Sodomy i Gomory. Wprowadzenie więc za kulisy mecenasa Mazurkiewicza dawało okazję do konfrontacji, z której ośmieszony wychodził stereotyp myślenia o aktorach, teatrze. Tę to farsę Dobrzańskiego w roku 1936 zaadaptował J. Tuwim, pozostawiając tytuł i dopisując, iż jest to „Krotochwila muzyczna w 3 aktach (6 obrazach) według komedii...”. Okazuje się, że z pierwowzoru pozostało tylko tyle, co w tytule, czyli sam pomysł. Muzykę skomponował Tadeusz Sygietyński.

Tuwim wykorzystał swoje doświadczenia kabaretowe zarówno spod Pikadora, jak i z Morskiego Oka, z którymi przecież współpracował, pisząc teksty i występując „Pod Pikadorem”. Te doświadczenia oraz skłonność satyrycznego widzenia ludzi i środowiska ułatwiły pocie pracę nad starym tekstem. Trzeba przyznać, że ożywił i zdynamizował akcję, dialog przemienił w błyskotliwy fajerwerk dowcipu, humoru i komiczmu.

Przedstawienie radomskie „Żołnierza królowej Madagaskaru” nie uрониło nie z tych ózarów sztuki, chociaż nie wszystkie one osiągnęły wysoki poziom. Ale niedostatki są wynikiem pewnej ogólnej tendencji — mianowicie aktorzy ogólnie zdradzają braki w wykształceniu wokalnym (zdarza się to nawet tym, którzy tylko śpiewają). W tym spektaklu śpiew nie jest najmocniejszą stroną, podobnie jak taniec, zwłaszcza kanikan. To jakoś nie wyszło.

Przedstawienie mimo to jest nader efektowne dzięki między innymi scenografii, barwności (np. strojów), dynamicznej grze aktorskiej, wreszcie wydobyciu dowcipu i humoru, które to walory tekstu nie zwietrzały przez lata. Za scenografię słowa uznania p. Jerzemu Rudzkiemu, za muzykę pp. T. Sygietyńskiemu i Jackowi Szczygłowi (od lat kierownik muzyczny teatru radomskiego, pracownik krawieckiej za efektowne, barwne stroje...).

Przedstawienie ma swojego indywidualnego bohatera. Jest nim (był w premierowym przedstawieniu) p. Andrzej Iwiński grający rolę mecenasa Mazurkiewicza. Jest to niewątpliwie jego rola popisowa i ohyba jedna z najlepszych — jeśli nie najlepsza — tego aktora, którego obserwuję na scenie od kilku lat. W „Żołnierzu królowej Madagaskaru” stworzył rzeczywiście swoją rolę, bo wszystko tu odpowiada niejako temperamentowi, psychice, gestom aktora. Zawsze gra dynamicznie (choć zawsze operuje tym samym repertuarem środków ekspresji), sprawnie, ale w tym spektaklu jest po prostu w swoim żywiole. Jego żywioł jest korniczny, komediowy. Zaskakuje inwencją ru-

chową, gra na wielkim i głębokim oddechu, odnosi się wrażenie, że jest to naturalne zachowanie człowieka w określonych sytuacjach, w jakich się znalazł, lecz których nie przewidywał. Stąd wrażenie spontaniczności. Taki właśnie spontaniczny jest w stosunkach z synem, a następnie z Kamillą, aktorką która go oczarowała. Miał uchronić młodego Władysława Mackiego przed demonizacją tej kobiety i... sam ulega jej urokowi.

Kamilla (p. Elżbieta Miłowska), po wstępnej tremie i jakby zaleźnowaniu, stanowi dla Mazurkiewicza godną partnerkę na scenie gra swobodnie, lekko, z rozruchem i sugestywnie, tworząc sympatyczną postać sceniczną, pełną wdzięku (i wdzięków). Kobięce role wypadły w ogóle dobrze, zwłaszcza owe „trzy Gracie”: Panna Sabina (Danuta Dolecka) która świat widzi poprzez wiersze liryczne Asnyka i Konopnickiej; Pani Lamięcka (Anna Grażyna Suchocka) i Pani Macka (Maria Chruscielówna), w których tyle jest z ich starszej „kuzynki” Dulskiej — stworzyły interesujące postacię poruszając się na linii karykatury i groteski.

Radoni ma na kilka miesięcy zapewnioną niezłą zupełnie zabawę, teatr powodzenie, aktorzy ciężką pracę, a Mazurkiewicz będzie się borykał codziennie ze swoimi problemami i z samym sobą.

## Baśń dla dorosłych

TEATR w Radomiu wystawił sztukę Eugeniusza Szwarca pt. „Nagi król” napisaną w 1934 roku, w reżyserii Marcina Stawińskiego, z muzyką Jacka Szczy-

gła, w scenograficznym opracowaniu Jerzego Rudzkiego. Jest to dobre przedstawienie, dopracowane interpretacyjnie, narzucające widzowi zawartą w tekście aluzyjność świata przedstawionego do rzeczywistości zarówno tamtej z lat trzydziestych jak i obecnej. Pozwala na ten uniwersalizm konwencja baśni, w której nie obowiązują schematy myślenia, a prawa logiczne mogą podlegać jakimś deformacjom. To, co dzieje się w baśniach nie zdarza się w rzeczywistości. O tym wszyscy są przekonani. Niektórzy zaś ludzie (np. Eugeniusz Szwarz) dostrzegli ogromne możliwości pokazania ludzi, rzeczy, zdarzeń, widzą — skoro wprost nie można, bo wszyscy się obrażają — właśnie w konwencji baśniowej. Pisał Szwarz: „Baśnie opowiada się nie po to, by coś ukryć, lecz po to, by wydobyć na jaw, wypowiedzieć z całą mocą, pełnym głosem to, co człowiek myśli”.

Autor „Nagiego króla” i „Smoka” nie miał szczęścia ani do krytyki, ani do teatrów, które, dostrzegając ten olbrzymi ładunek intelektualny, zabarwiony i podprawiony śmiechem i satyrą, opowiadały się jego baśniowych opowieści. Można tu tylko z satysfakcją przypomnieć — ale i z żalem — że światowa prapremiera „Smoka”, uznanego za najlepszą ze sztuk pisarza, miała miejsce w nowohuckim Teatrze Ludowym (1961) w reżyserii Jerzego Krasowskiego; natomiast tom dramatów pod tytułem „Baśnie dla dorosłych” w przekładzie i z komentarzem Jerzego Pomianowskiego ukazały się w Polsce w 1965 roku. Po ich ukazaniu Seweryn Pollak w „Roczniku Literackim 1965” pisał: „... Szwarz, opierając się na Andersenowskich wątkach bajkowych, które mu były najbliższe, tworzył sztuki pełne poezji, wdzięku, a jednocześnie nasyczone satyryczną pasją pisarza, dla którego nie jest obojętna ani jego współczesność, ani rodząca się z niej przyszłość”. Natomiast A. Drwicz wskazuje na moralne aspekty baśniowego dramatu Szwarca, bo mamy w nich do czynienia z walką dobrego ze złem, pokazaną „bez natrętnych dydaktyki, z respektowaniem wymogów gatunku” („Literatura radziecka 1917—1967”).

To tyle dla prezencji autora, który specjalnie nie jest znany, mimo wydania jego dramatów i wystawiania od czasu do czasu jego sztuk.

Teatr w Radomiu wystawiając jedną z pierwszych baśni scenicznych Eugeniusza Szwarca, „Nagi król” pokazał mechanizm twórczego warsztatu autora, bowiem treść tej baśni stworzona została na podstawie trzech opowieści Andersena: „Książniczka na ziarnku grochu”, „Nowe szaty cesarza” i „Świnopas”. Wykorzystując potrzebne mu wątki stworzył



oryginalną opowieść o miłości paśtucha świni do księżniczki, pokazał śmiesznego władcę, który nie nadawał się na urząd króla, wprowadził szereg postaci z otoczenia monarchy, zaprzęgniętych tylko utrzymaniem swego stanowiska. Fabuła jest więc bardzo prosta, przerywana piosenkami.

Przedstawienie radomskie obnaża do końca rzeczywistość, akcentuje też bardzo mocno subtelną ironię, przechodzącą nierzadko w ostrą satyrę. W jednej z pierwszych scen swiniopas uspokaja swoje podopieczne, zwracając się do jednej: „baronowo”, do drugiej: „księżno”, a do trzeciej: „hrabino”. Towarzyszące Henriecie (córka króla — Elżbieta Sapieja) damy dworu (Nikolina Wortman, Elżbieta Miłowska, Danuta Dolecka) po kolei padają zemdlałe. Zabawne *qui pro quo*:

**I DAMA** *Ta dama jest właśnie baronową, którą pan nazwał swinią i którą chce pan zarzącać.*

**HENRYK** *Nic podobnego, oto swinia, którą nazwałem Barono-  
wą i chcę zarzącać.*

Damy skwitowały to oburzeniem: „Co za zuchwałstwo! (...) Nadawać swiniom tak dostojne tytuły”.

Baśniowa fabuła „Nagiego króla” może dostarczyć sporo zabawy, humoru i śmiechu, ale dla uważnego czytelnika tekstu lub słuchacza i widza tego przedstawienia nie ulega wątpliwości, że są to tylko preteksty do snucia filozoficznych dywagacji na różne tematy: wypowiadanie sądów uniwersalnych o sprawach uniwersalnych. Doskonale to pokazuje beznadziejna głupota króla, służalstwo i obłudę jego swity, pochlebstwo i zakłamanie otoczenia. Poświadczają to wypowiedzi Premiera, Poety. W obnażaniu czarnych charakterów Szwarz jest nieublagany, okrutny, chociaż robi to z uśmiechem i dowcipnie.

Poeta w tym przedstawieniu, kreowany przez Marka Pączka, jest szczególnie odrażający, bo całą „duszę niewolnika” wypowiada w każdym słowie. Król natomiast (Stanisław Kozyrski) głupotę wypisaną ma na całej twarzy, w każdym niemal słowie, uśmiechu, gęście Stanisław Kozyrski niezwykle trafnie obsadzony został w tej roli.

Wydaje się, że Eugeniusz Szwarz nie tworzył typów, nie dbał chyba także o to, aby jego postacie były żywe, bo przecież są one tylko nosicielami określonych cech, reprezentują bardziej funkcje pełnione niż bogactwo duchowe. Zasluga reżysera i aktorów jest pogłębienie psychologiczne postaci, przybliżenie ich do widza. Taki jest Premier Andrzej Iwiński, który skupił uwagę na elementach komicznych postaci; nie wychodząc poza dość wąski

repertuar gestów i min, Andrzej Iwiński wnosi do przedstawienia dynamikę i dramat. Ten dramat polega na tym że zdaje sobie sprawę z rzeczywistości, walczy sam z sobą (powiedzieć prawdę czy nie), jest inteligentny — brak mu jednak odwagi, autentyczności.

**PREMIER** — *Czemuż to zgodziłem się za premiera? Po co? Czy to mało innych posad? Przeczuję, że to wszystko źle się skończy. Durnie zobacz nagiego króla. To okropne! To okropne! (...) Pójdę i powiem wprost naszemu panu: nie wolno się tak pokazywać! Nie! Nie wolno!*

Otóż ów monolog premiera odśladania wszystkie wewnętrzne rozterki tego człowieka. Durnie — to ci wszyscy, którzy zobaczą nagiego króla. Tak zapowiedzieli tkacze, którzy mają przygotować tkaninę na szaty królewskie, że tkanina będzie niewidzialna. Kto jej nie zobaczy, nie nadaje się na swój urząd. Kapitałna scena w pracowni tkaczy kiedy odwdzięczeni ją dostojnicy państwowi i sam król udają, że widzą rozciągnięte tkaniny wzorzyste. Przyglądając się tej farsie obaj tkacze — Henryk i Chrystian — śpiewają:

*Albośmy to jacy tacy, bylejacy  
Słabsi, głupszy niż dworacy  
i cwaniacy?  
To wy drzyjcie o kariery  
i posady.  
Bo też u was bez totostwa  
nie ma rady!  
A my się nikogo nie boimy.*

Pamiętając o tym, że „Nagi król” został napisany w 1934 roku, możemy przypuszczać, że wszelkie aluzje polityczne miały odniesienie w rozwijającym się faszyzmie (w 1933 r. Hitler doszedł do władzy), ale gdyby tylko do faszyzmu odnosiły się te aluzje, sztuka miałaby charakter publicystyczny. Jej wartość polega właśnie na nieustannej aktualności (jak u Szekspira np. w „Makbecie”), bo nie zniknęły z powierzchni globu dyktatury, faszyzmy, nacjonalizmy, totalitaryzmy, a rządy i władze w wielu krajach utrzymują spokój, ład i porządek siłą (np. RPA). To zdziwienie Generala: „Książek nie ma, ulotek nie ma, agitatorów nie ma, dyscyplina царująca, a ci mi się z każdym dniem bardziej demoralizują. Próbowaliśmy komenderować — demoralizacji do-o-ść! Nie pomagamy”.

Radomski zespół udźwignął ciężar tych treści, reżyser znakomicie przeobraził swój zamiar, ujawniając głębię ogólnoludzkiej refleksji Szwarca. To bardzo dobre przedstawienie świetnej sztuki, w której rozsadek i mądrość społeczeństwa jest niepodważalna.

STANISŁAW ŻAK

## książki

### Na marginesie „Galicjady”

**N**A wstępie zastrzeżenie: nie piszę recenzji. Są to istotnie refleksje „na marginesie”. A teraz do rzeczy.

Z dużym zainteresowaniem przeczytałam ostatnio powieść Ryszarda Sadaję „Galicjada”. Książka ta jest rodzinną kroniką szlacheckiego rodu. Opowiada dzieje kilku pokoleń Walichradów zamieszkujących Natalin. Historię mieszkańców ziem położonych między Wisłą a Sanem maluje Sadaja na tle historycznych, społecznych i gospodarczych wydarzeń w Polsce ostatniego przełomu wieków.

Całość płynnie skomponowana. Nie pozbawione humoru i uroku, mocno osadzone w realiach historycznych sceny sprawiają, że powieść czyta się bez znużenia.

„Galicjada” jest sagą. Należy zatem do tego samego gatunku powieściowego co „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej czy filmowa opowieść Albina Siekierskiego „Blisko, coraz bliżej”. Nie bez przyczyny zestawiam z sobą te trzy sagi. Historia rodu Niechciów toczy się na terenie zaboru rosyjskiego, losy Pasterników związane są z ziemiami polskimi pod panowaniem pruskim, zaś na egzystencji Walichradów swe piętno odcisnęły historyczno-gospodarcze przemiany Galicji, terenów, do których administracyjnie przynależała także znaczna część Kielecczyny. Zatem wymienione powieści jakby wzajemnie się uzupełniają. Ukazane w nich w formie rodowej kroniki wydarzenia rejestrują historyczne doświadczenia Polski przełomu XIX i XX wieku.

Czas przedstawiony w epickim ujęciu „Nocy i dni” obejmuje okres od powstania styczniowego do pierwszej wojny światowej, akcja „Blisko, coraz bliżej” ograniczona jest wydarzeniami 1863 r. i trzeciego powstania śląskiego, zaś „Galicjada” prezentuje doświadczenia Polaków od wielkiego kryzysu listopadowego w 1831 r. do zakończenia drugiej wojny światowej. Powieściowy czas sagi Dąbrowskiej jest zatem o wiele krótszy od czasu prezentowanych

zdarzeń w sadze Siekierskiego, a szczególnie Sadaja. Przy tym dzieje Niechciów pomieściła pismka na kartach czterech kilkusetstronicowych tomów, „Blisko, coraz bliżej” ukazało się w objętości dwóch tomów, zaś powieść Sadaja to niewielkich rozmiarów książka licząca niespełna 230 stron. To kondensowanie zdarzeń przez Siekierskiego i Sadaja odbiega także od konwencji innych, wielkich sag: „Rodziny Rougon-Macquartów” E. Zola, „Buddenbrooksów” — T. Manna, „Sagi rodu Forsythów” J. Galsworthy’ego „Krystyny córki Lawransa” — S. Undset, „Rodziny Thibault” — M. du Garda. Odrębność „Galicjady” i „Blisko, coraz bliżej” od galicyjskich dzieł gatunku, do którego przynależą, jest wynikiem ewolucji tej formy powieściowej.

W literaturze nordyckiej sagi były prozatorskimi opowieściami o wielkich islandzkich bohaterach lub dziejach wybitnego rodu. Miały formę dokumentu-kroniki rejestrującego pewne wydarzenia. Do XIX w. nie znano sag poza granicami macierzystego regionu. Zwrócono na nie uwagę dopiero w przedostatnim stuleciu dzięki tłumaczeniom W. Morisa. Zaszczepieniu sag na szerszy grunt sprzyjał też rozwój powieści, porzucający od XIX w. Miałą ona kształtować społeczno-polityczną świadomość narodu. Toteż często na tle wielkiej panoramy społeczeństwa malowała różne doświadczenia mniej lub bardziej wybitnych rodów — „Rodzina Polanieckich” H. Sienkiewicza, „Nad Niemnem” — E. Orzeszkowej, „Chłopi” St. Reymonta.

Dla większej możliwości zrealizowania wielu zadań społecznych powieść ta wchłaniała, nie tylko tak jak saga islandzka, elementy kroniki, ale także powieści historycznej, psychologicznej, obyczajowej i społecznej. Wszystkie te wątki spotykamy w naszej wielkiej „powieści — rzece” — „Nocach i dniach”. Uzupełnione o echa lektur H. Bergsona, E. Durkheima, Z. Freuda czy E. Abramowskiego. Sprawia to, że ukazana w powieści perspektywa historyczna zostaje zaprezentowana na płaszczyźnie egzystencjalnej, że zobrażowane procesy historyczno-społeczne są adekwatne do świadomości powieściowych postaci.

„Galicjada” i „Blisko, coraz bliżej” rezygnują z epickiego stylu „Nocy i dni”. Odrzucają elementy narracji personalnej i na wzór doświadczeń prozy staroskandynawskiej dążą do zwięzłości i obrazowania. Układ epickich obrazów podporządkowują zaś kompozycji obrazów filmowych.

W czasie lektury powieści Sadaja czytelnik odnosi wrażenie, że ogląda pasjonujący serial o rodzinie Walichradów. „Galicjada”, tak jak „Blisko, coraz bliżej”, ma bowiem formę zbeletryzowanego

scenariusza filmowego. Jest słowną transkrypcją przyszłego obrazu. Budowa „powieści — filmu” rozpada się na kilka „części — odcinków”, z których każdy stanowi dobrze przemyślaną całość kompozycyjną. Wszystkie „odcinki” kończą się zawieszeniem trzymającym czytelnika w napięciu. Sprzyja temu również sposób prezentacji świata przedstawionego przypominający filmową technikę zbliżeń i oddaleń. Konsekwentnie współgrają z artystycznymi zamierzeniami, łatwe do zatrzymania w kadrze, niezwykle plastyczne „galicjadowe” postaci oraz dynamika i obrazowość scen, w które je Sadaj uwikłał.

Ta ewolucja kompozycji powieści — sagi związana jest z rozwojem sztuki filmowej. Spójrznie na świat okiem kamery występuje zresztą nie tylko w technice epickiej („Bramy raju” — J. Andrzejewskiego — „film historyczny”), ale także lirycznej („U wrót doliny” — Z. Herberta — „reportaż filmowy”) i dramatycznej („Bardzo starzy oboje” — K. Brandysa — „teatr telewizyjny”). Jest ono wyrazem dążenia do rozszerzenia i wzbogacenia zasobu tradycyjnych środków i technik. Dążenie to spotykamy także w innych dziedzinach sztuki. Konsekwencją tego jest zacieranie się granic między jej gatunkami. „Blisko, coraz bliżej” czy „Galicjada” zacierają właśnie granice między epickimi środkami artystycznego wyrazu a ekspresją właściwą poetyce filmowej. Wielkie to ułatwienie dla sięgającego po tekst reżysera.

ALINA BIAŁA

## Rzecz o ludziach

**S**POŚRÓD pisarzy, którzy kiedyskolwiek fizycznie i duchowo z Kielecczyny się związali i o ludziach tutejszych, o ziemi, jej historii dawniejszej oraz czasach całkiem współczesnych pisali, Kazimierz Dębnicki nie cieszy się w tych stronach, takie przynajmniej mam wrażenie, nadzwyczajną popularnością, chociaż przecie długi i najcięższy, bo okupacyjny czas był „suchedniowskim, kieleckim, kieleckim”, partyzantem i konspiratorem, działał też tu trochę „po wojnie i co najważniejsze napi-

sał — także niesłusznie rzadko przypominane — dwie związane z Kielecczyna swoimi z nią przeżyciami, książki: znakomitą powieść „Krzyk przez sen” i „Opowiadania Świętokrzyskie”, nie mówiąc o młodzieżowym książeczkowym serialu „Uwaga, Piegowaty”, którego akcję częściowo w tych stronach umieścił i nie wypominając paru związanych z Kielcami wierszy.

Upominam się o Dębnickiego nie po raz pierwszy tym razem znowu i głośnie, publicznie, bo jest po temu szczególna okazja, ukazała się oto nowa jego książka, tom wspomnień pod znaczącym tytułem „Ludzie mojego życia”\*) którą autor — także lekarz i znany społecznik — poświęcił tym, których spotkał na drodze swego życia, a którzy stanowili dla niego wzorzec osobowy i „Jak sztańca w metalu, pieczęć w wosku lub laku, tak oni pozostawili we mnie trwałą ślad”.

Wśród tych ludzi, bliskich przyjaciół i znanych sprzed wojny, takich jak Leon Glatenberg współkolega z redakcji korszackowskiego „Małego Przeglądu”, doktor Leon Plocker, doktor Włodzimierz von Hertz, słynny pediatra profesor Mieczysław Michałowicz, niemiecki inżynier Max Lindner, czy tajemniczy Rosjanin Wania, zachowujący się jak bohater radzieckiego filmowego serialu wojennego Stirlitz, znaleźli się także dwaj ludzie z naszych kieleckich stron — „akuszer trzydziestu tysięcy nowych obywateli”, czyli niezapomniany doktor wszech nauk lekarskich Witold Poziomski z Suchedniowa i krukowianin, bo z miejscowości Kruk stolarz — Stanisław Breszko, „najbardziej zreumatyzowany bohater ostatniej wojny”, socjalista, zresztą bohater wielu Dębnickiego utworów: powieści, reportaży i opowiadań. Ten sam Breszko, który przedstawiając kiedyś w rozmowie autorowi „Krzyku przez sen” doktora Poziomskiego powiedział o suchedniowskim konsyliarzu, uczestniku wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku, leczącym zresztą w czasie okupacji potajemnie komunistycznych „narbutowców”, że to reakcjonista, ale dobry, z duszy dobry chłop i zaraz dodał usprawiedliwiająco: „Tak mi się jakoś wymknęło, jak osu śpiew, bo przecie endeck powiada: Żyd, ale porządny, Żyd mówi: Goj, ale pocziwy, sanator, że komunista, ale uczciwy, komunista o socjalistcie, że zdrajca pracujących mas, ale osobiście zaufany, socjalista: komunista, ale patriota, wreszcie wszyscy razem o chłopie, że głupi wprawdzie, ale pracowity... I z tego batwańskiego „ale” wszystkie światowe głupoty, człowieku, wynika...”

Tak mówił niezły, co już rodzime Suchedniowski stolarz, tacy oni są

wszyscy, tacy byli, bohaterowie tych wspomnień — ludzcy, zaangażowani społecznie, walczący przeciw najeźdźcy, występujący czynnie przeciw zmorze człowieczeństwa — faszystowii, przeciw niesprawiedliwości i krzywdzie. Niezależnie od tego z jakich grup społecznych się wywodzili, kim byli i co ich zięło w życiu spotkało.

To budująca lektura. Mądra. Ludzka. I dlatego tę świetnie napisaną, pełną przygody i dramatyzmu, ale i liryki, zadumy książkę, wpisałbym — gdyby to ode mnie zależało — na listę lektur szkolnych. W każdym razie polecam ją wszystkim młodym. I nie tylko młodym. □

ZBIGNIEW NOSAL

\* KAZIMIERZ DĘBNICKI — „*Łudzie mojego życia*”. Warszawa 1986. Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”, c. 120 zł.

## Z regionalnej witryny

● ZENON GULDON, LECH STEPKOWSKI — „*Statystyka obrotów towarowych na komorach celnych województwa sandomierskiego 1764–1766*”. Kielce 1986, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, s. 206, cena 80 zł.

Praca przedstawia statystykę obrotów towarowych w świetle nieznanych do niedawna rejestrów komor celnych z terenu województwa sandomierskiego w latach 1764–1766. W obszernym wstępie autorzy scharakteryzowali wykorzystanie ksiąg celnych w badaniach nad rozmiarami, strukturą i kierunkami handlu polskiego w XVI–XVIII w. Olbrzymia ilość rejestrów celnych z okresu szlacheckiej Rzeczypospolitej znajdowała się w Archiwum Skarbu Koronnego i Bibliotece Ordynacji Krasieńskich. Uległy one zagładzie w czasie ostatniej wojny. Okazało się jednak, że w Archiwum Kameralnym w zasobie Archiwum Głównego Akt Dawnych w Warszawie zachowało się 1819 kwartalnych rejestrów celnych z terenu całej Korony z lat 1738 i 1763–1767. Stan ich zachowania i wykorzystania w dotychczasowych badaniach został szczegółowo omówiony.

Koncowa część wstępu omawia metody opracowania wydawnictwa. Przedstawia ono statystykę

obrotów towarowych w świetle rejestrów sandomierskich komor celnych w Koźlenicach, Opatowcu, Opatowie, Opocznie, Połańcu, Przedborzu, Sandomierzu, Tarnowie, Zawichosie i Zwoleńcu. Ponadto uwzględniono położoną w województwie lubelskim komorę w Józefowie, bowiem podległy jej przykomórki w Solcu nad Wisłą leżały już w województwie sandomierskim. W wydawnictwie pominięto rejestry obejmujące tylko jeden kwartał danego roku. Z całą pewnością takie ułamkowe rejestry mają ograniczoną przydatność badawczą. Czy nie należało ich jednak uwzględnić, chociażby ze względu na ubóstwo źródeł dotyczących dawnej Sandomierszczyzny? Czy niepełne informacje nie są lepsze od żadnych?

Towary przewożone przez komory sandomierskie zostały zestawione w 13 grupach. Ich wyodrębnienie nastroczało sporo trudności ze względu na możliwość przyjęcia różnych kryteriów.

Tak na przykład lój może być traktowany jako produkt gospodarki hodowlanej lub też jako półprodukt przemysłowy. Przykłady tego typu można mnożyć. Zwinny korekty na s. 19 znalazła się grupa towarowa: „Metale i kopaliny (blacha, drut, głównie i krzyże szablowe, gwoździe, lemiesz, noże, robota żelazna)”. Z treści pracy wynika, że chodzi tu o dwie odrębne grupy, a mianowicie: „Metale i kopaliny” oraz „Wyroby metalowe (blacha etc.)”.

Ostatnia tablica przedstawia statystykę przejazdów kupców na podstawie liczby wzmianek. Wydaje się, że odrębne wydawnictwo poświęcić należałoby statystyce samych kupców. Dopiero wówczas można by przebadać kapitalny problem roli ludności żydowskiej i chrześcijańskiej w handlu polskim w połowie XVIII wieku.

Wydawnictwo uzupełniają zestawienia miar i wag, wykaz cen przewożonych towarów, słowniczek towaroznawczy oraz wykaz zastosowanych skrótów. Ze względu na ograniczoną objętość brak w wydawnictwie indeksów, co utrudnia korzystanie z pracy.

Te marginesowe i po części dyskusyjne uwagi nie umniejszają wysoce pozytywnej oceny pracy, która zawiera olbrzymią ilość materiału do badań nad rynkiem wewnętrznym i handlem zagranicznym Polski w początkach Oświecenia. Postulować należałoby opracowanie w ten sam sposób innych województw i ziem Korony. Dopiero wówczas mieliśmy podstawę do badań nad stanem ekonomicznym ziem polskich bezpośrednio przed pierwszym rozbiorem. □

KAROL KRZYSTANEK

## Żurnalista z Ciepielowa

**P**RZEGLĄDAJĄC paczki kramarskie po zmarłym (15.1.73) Edwardzie Koźle, kramarzu „oświeconym” — jak go nazywała w „Polityce” Anna Strońska — znalazłem kilka numerów różnych gazet i okolicznościowych wydawnictw lokalnych, pochodzących z dawnego województwa kieleckiego, których redaktorem i wydawcą był właśnie ów Koźle, syn rolnika we wsi Ciepielów Stary, gmina Ciepielów, powiat ilżecki.

Edwarda Koźla poznałem najpierw korespondencyjnie, a później spotkałem się z nim w Sianowie koło Koszalina, gdzie zamieszkał na stałe po wielu latach tułaczki, mając się różnych zawodów, począwszy od redaktora i wydawcy, a skończywszy na kramarzu odpustowo-jarmarczonym. Był sanitariuszem szpitalnym, handlarzem bydła, drwałem na dalekiej północy, komiwojażerem prasowym, korespondentem różnych gazet i pism, kronikarzem. Wędrując po kraju jako sprzedawca odpustowych świecidełek — obserwował świat i ludzi zza swojego stoiska handlowego, a później opisał to w książce pt. „Wspomnienia wędrownego kramarza”, która stała się bestsellerem jako pierwsza tego rodzaju literatura w Polsce. Książka ta miała wiele ciekawych i pochwalnych recenzji w poważnych czasopiśmie. Koźle zachęcony powodzeniem, zaczął pisać drugą książkę pt. „Od parafii do parafii”, której już nie zdążył dokończyć i wydać, a to co znalazłem w jego paczkach kramarskich (kilku dziesiąt stron rękopisu) włączono jako nowy rozdział do drugiego wydania pierwszej książki kramarza, która ukazała się na półkach księgarskich po śmierci autora, wskutek miłych starań w Wydawnictwie Poznańskim.

Edward Koźle nosił w sobie od wczesnej młodości niezwykłą pasję pisaną, co w warunkach wiejskich na owe czasy było ewenementem. W 17 roku życia (?), będąc jeszcze uczniem szkoły powszechnej — wydaje książeczkę swego autorstwa pt. „Ciepielów — miasteczko i parafia”, a jednocześnie w sierpniu 1933 r. drukuje jednodniówkę (8 stron) „Echa Nadwiślańskie” — Wiadomości z Puław, Kazimierza, Koźlenic i Naleczowa — w której tak się reklamuje: „Uwaga! Uwaga! W księgarniach Puław, Koźlenic, Naleczowa, Końskowoli, Zwoleńca,



Opola; "u kolporterów, sprzedawców i w Redakcji „Echa Nadwiślańskiego” jest do nabycia książeczka pt. „Ciepeliów — Miasteczko i Parafia” pióra Edwarda Koźła. Broszura zaznajaia Czytelnika z przeszłością miasteczka, jego powstaniem i rozwojem. Dla interesujących się krajoznawstwem i przeszłością naszych miast i miasteczek — niezbędna. Z zamówieniami prosimy się spieszyć, póki zapas starczy. Cena 15 gr. Z przesyłką 20 gr.”.

W roku 1934 Koziół jako redaktor odpowiedzialny i wydawca wydaje gazetę „Głos Ludu” (mam w archiwum Nr 1, Rok II), gdzie obok tytułu czytamy: „Adres Redakcji i Administracji: Ciepeliów, poczta loco. Oddziały: Chęcin, Lubelska 15; Ostrowiec, 3 Maja 25; Skarżysko-Kamienna, Itzecka 14; Wierzbnik, Starachowicka (4 strony, cena 15 gr)”. Godne podziwu — chłopak wiejski, który nie ukończył jeszcze szkoły podstawowej, wydaje gazetę, a redakcja posiada 4 oddziały (?). Dalsze wydawnictwo to „Głos”, niezależna jednodniówka opinii chrześcijańsko-narodowej ziemi radomskiej pod redakcją Edwarda Koźła, Radom (Żeromskiego 49), w kwietniu 1936 4 strony, cena 15 gr.”.

Poza tymi organami prasowymi znalazłem jeszcze „Głos Ludu” — „Wiadomości ciekawe i pożyteczne. Czasopismo miesięczne ku nauce i rozrywce. Rok I. Listopad — Grudzień 1933 r., Nr 1. Wydawca i redaktor odpowiedzialny — Pietruszka Józef. Redakcja: Tymienica k. Ciepeliowa. Administracja: Skarżysko-Kam., ul. Itzecka (księgarnia Chorzelejski). Oddziały: Ostrowiec, Aleja 3 Maja (księgarnia Bykowski), Wierzbnik, ul. Starachowicka (księgarnia Grabowski), 8 stron, cena 20 gr.”.

Od pierwszych numerów wymienionych wyżej publikacji upłynęły w tym roku 53 lata. W tamtych czasach gazety plemiły się jak grzyby po deszczu, nawet na wsiach, gdzie redagowali je i wydawali ludzie bez żadnych kwalifikacji. Właściwie, to każdy kto chciał i miał trochę pieniędzy oraz jaką taką „smykałkę” do pisania (Koziół np. nie ukończył szkoły podstawowej — wyrzucili go z 7 klasy za działalność polityczną) mógł wydawać swój własny organ prasowy. Naturalnie, że trzeba było mieć także trochę polotu i redaktorskiego „zacięcia”, by zapisać 4—8 stron druku i puścić to w świat, aby ludzie kupowali i czytali. Nasz redaktor z Ciepeliowa niefortunnie zakończył swoją karierę dziennikarsko-wydawniczą, bowiem skazany został przez ówczesne władze sanacyjne na miesiąc aresztu za zbytnia śmiałość wypowiadania myśli politycznych.

ALEKSANDER ZACZYŃSKI

## Skąd ta nazwa? (II)

Jerzy  
Fijałkowski

W nazwach wsi, przysiółków, gór, rzek i uroczysk, we wszelkich w ogóle nazwach miejscowych, przeglądają się dzieje i lokalna tradycja, a prawda historyczna spleta się z legendą, podaniem, niekiedy anegdotą. Zawsze te nazwy są bogatym źródłem wiedzy o regionie. Rąbek tej wiedzy, przedstawionej przez regionalistę, nie zaś językoznawcę podejmującego ućzone wywody toponomastyczne, przynosi cykl, który właśnie rozpoczynamy.

**SKIBY.** Gdy patrzymy z murów zamku checińskiego na okolicę, nie możemy oprzeć się wrażeniu, że okoliczne, garbate góry przypominają skiby odłożone piugiem. Między nie wtuliła się wioska o tej samej nazwie, pochodzącej być może od kształtu otaczających ją gór. Mieszkańcy Chęcina twierdzą natomiast, że pochodzenie nazwy jest zupełnie inne. Mianowicie gaj królowa Bona-Sforza opuszczała Polskę i wracała do rodzinnej Italii, przyszedł pożegnać się wierny stuga. Królowa pamiętając o jego przywiązaniu, zapytała, co też chciałby otrzymać w nagrodę za swą służbę. Dworzanie udając przesadnie potulnego nie był w stanie wykrzusić słowa. Królowa zapytała, czy może chciałby kawałek ziemi? Stuga odparł skromnie, że co najwyżej jedną skibkę. Bona straciwszy cierpliwość kazała, by wybrał sobie tę skibkę. Potem z okna zamku pokazano jej pas odwalony piugiem po horyzont. I stało się. Rzecz potraktowano jako przedni dowcip. Natomiast absolwentka trzeciego kursu Studium Nauczycielskiego w Radomiu, E. Gruszczyńska podała w czasopiśmie „Ku słońcu” z dnia 11 czerwca 1930 roku nieco inną wersję: w lasach królewskich znany pod Chęcina mi urządzono łowy. Udały się znakomicie i zadowolony król zapytał leśniczego, jaką za to nagrodę chce otrzymać. Ten odparł, że wystarcza mu w zupełności dwie skiby ziemi. Potem zrobił to samo, co dworzanie królowej Bony. Jak było naprawdę, nie wiemy. Autor jest skłonny wrócić do wersji pierwszej, że góry pod Chęcina mi to skiby.

**TELEGRAF.** Mało kto pamięta, że ta najwyższa góra leżąca w granicach kieleckiego Parku Kultury i Wypoczynku, zwała się niegdyś Halasa Górą. Historia mówi, że w okresie Księstwa Warszawskiego, kiedy Napoleon Bonaparte siedział na Moskwę, przez Kielce przebiegała linia telegrafu optycznego. Proste meldunki docierały z Radomia do Pinczowa w ciągu dwudziestu minut. Na Halasie Górze stała trójkątna jodła. Wzduż

jej pnia przybito szczeblę, a na rozwidlonym wierzchołku ustawiono drewniany, skrzyplący w czasie wiatru, pomost z barierą. Wnoszono tam „lampę astralną” na petrolium (naftę), posiadającą wkłesłe zwierciadło o dużej średnicy. Sygnały podawane w formie błysków z podobnego urządzenia na szczycie Wisniówki Dużej, przekazywano na Górę Orlą w Morawicy. Dlatego tamtejszą górę nazwano też Ulańską, bo przy reflektorze stał ulan na widecie. Trójkątną jodłę z resztkami szczebli, głęboko wrosłymi w korę, zwałili huragan, który z frontem atmosferycznym przeszedł nad Europą wieczorem dnia 22 lipca 1940 roku. Dzisiaj w tym miejscu widzimy maszt stalowej konstrukcji. Swym przeznaczeniem podobno niewiele różni się od starej, trójkątnej jodły.

**BIAŁOGON.** Wyprowadzenie nazwy dla tej podkieleckiej wsi hutniczej, a obecnie dzielnicy miasta, nastrożało badaczom poważnych trudności. Mówiono: „Biały Gon”, czyli biała przeszczen, mająca się kojarzyć z piaskami wydmyowymi koło Zalesia Starego, obecnego cmentarza i przy Biesaku. Ale gony, to przecież zerenia bobrowe, a rzeka tam płynąca zwie się Bobrzą. Dawniej mówiono Bobrzyca, niemniej sens pozostaje ten sam. Białe gony, to zerenia budowane z brzoźowego drewna, bo tego było tam najwięcej. W zapisach staszycowskich znajdujemy liczbę mnogą. Białogony, a więc mimo wszystko budowle bobrów. Co prawda J. Pazdur w publikacji o Zakładach Metalowych w Białogoni (1957) podał również inną wersję, że „białe gony”, to smugi kruszywa wapiennego sypane w hucie staropolskiej na powierzchni roztopionego metalu, aby zahamować proces utleniania. Huta w Białogonach była, ale motywacja słaba. Podobnie nie budzi też zaufania propozycja archeologa S.W. Krukowskiego, że „białe ogony” to ostrogi przy wydymach. Autor woi, zostać przy odcinach, bo to bardzo miłe stworzonko.

CDN

nie tylko o literaturze

# Komputery, komputery...

Łózek Rurawski

JEST ich coraz więcej. Coraz częściej poświęca im programy telewizja. Młodzi ludzie z zapałem dyskutują o wyższości wyrobów firmy IBM nad Sinclairem, Apple nad Atari i Commodore. W rozmowach młodych coraz częściej padają nazwy „języków” komputerowych: Basic, Logo, Assembler. Największą atrakcją wszelkich imprez masowych, różnego rodzaju „Dni”, festynów itd. stają się „namioty komputerowe”, gdzie każdy może przeżyć swą „przygodę z komputerem”. Ba, nawet studio mundialowe telewizji wystawiło dwa mrugające do widzów komputery — nagrody indywidualne i zbiorowe. Dlaczego o tym piszę, ja, który jestem antytalentem technicznym i mimo że mam w domu komputerowego Kasparowa, nadal wierzę, że w środku siedzą pracujące na akord krasnoludki? (Mówiąc nawiasem, ten mój domowy Kasparow „leje” mnie jak chce, czasem, z łaski dając wygrać).

Oto inspiracją do niniejszych refleksji stał się artykuł wstępny w pierwszym numerze dodatku do „Zolnierza Wolności”: „Informatyka, Komputery, Systemy”. Przeczytałem tam bowiem zdanie, które każe mi zamyślić się nad pewnymi sprawami. Mówiąc o zafascynowaniu młodych ludzi komputerami, grami komputerowymi i programowaniem dodaje Redakcja: „Ale najpierw trzeba się uczyć myśleć; myśleć jasno, przejrzysto i jednoznacznie formułować swe poglądy, maszyna bowiem nie toleruje niedomówień i choć rozkazy wykonuje szybko i bezbłędnie, to jednak nie myśli”.

Myśleć jasno i przejrzysto, oto sprawa najważniejsza. Dzisiejsze niemowlaki obwożone w wózkach, maluchy bawiące się w piaskownicach, usmarkane dzieciaki biegające po ulicach — wszyscy oni zetkną się wcześniej czy później, z techniką komputerową. Jaki to będzie miało wpływ na ich sposób myślenia? Na ich widzenie świata jako całości? Na stosunek do innego człowieka? Do samego siebie? Czy kontakt z komputerem dokonania przemian w ich świadomości?

Zaczyna się od zabawy, od rysowania „myszą” na ekranie komputerowym i wieszania w domu wydruków tych „dzieł”. W 1. numerze pisma „Komputer” przeczytałem bardzo interesujący artykuł Jakuba Tatarkiewicza, mówiąc nawiasem syna znakomitego filozofa-mysliciela Władysława Tatarkiewicza. „Dzieci kochają mysz”. W zakończeniu pisze autor: „Patrząc na twórczość moich dzieci oraz ich zapal w komputerowym malowa-

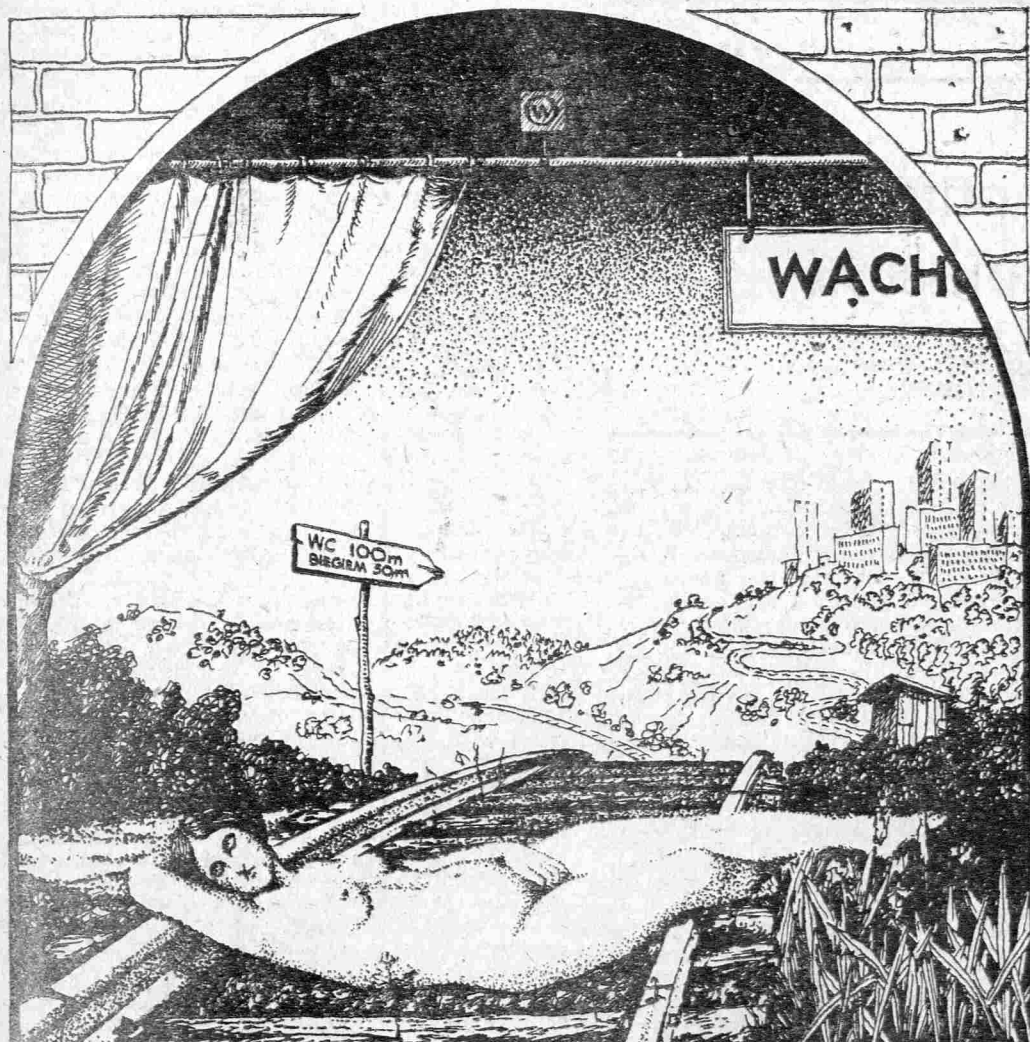
niu, nie wątpię, że ich pokolenie inaczej będzie patrzyło na komputery i ich możliwości. Przede wszystkim opanuje lęk przed aparaturą elektroniczną i zdobędzie podstawy do prawdziwie twórczego, a potem praktycznego wykorzystania tego cudu techniki końca dwudziestego wieku”.

To oczywiście prawda. Tylko, co to znaczy „prawdziwie twórcze wykorzystanie” komputera? Czy chodzi tu o perfekcję techniczną, o możliwości dokonywania przy jego pomocy przemian rzeczywistości? Czy też, być może, chodzi także o prawdziwie twórczy stosunek do świata, oparty na zdobytej samodzielności i precyzji myślenia? Sprawa wcale nie jest łatwa i prosta. Wiemy, że w społeczeństwach wysoko rozwiniętych technicznie, gdzie mamy do czynienia z masowym użytkowaniem najwyższej dzisiaj techniki elektronicznej, wcale nie zmieniły się na lepsze stosunki między ludzkimi i poziom indywidualnej refleksji nad życiem, jego sensem, znaczeniem i wartością jednostki. Socjolog-filozof José Ortega y Gasset stworzył pojęcie „mass-mana”, owego masowego produktu wysokiej cywilizacji technicznej, krytycznie oceniając jego postawę intelektualną i ubóstwo duchowe.

Więc i komputery nie staną się panaceum, środkiem cudownie zmuszającym do samodzielności myślenia i aktywnej postawy wobec świata. Informatycy lubią powtarzać angielskie powiedzenie: „Garbage in — garbage out”, śmieci do środka, śmieci na zewnątrz. Oznacza to, że jeśli komputer został śmieciami nafaszerowany to wyhiki jego pracy także nadawać się będą do kublów.

Ale przecież w tym zafascynowaniu naszej młodzieży zabawami i programowaniem komputerów tkwi jakaś optymistyczna przesłanka. Zabawa z komputerem i jego programowanie stwarza reguły, których pominąć się nie da. Trzeba myśleć logicznie, w układzie przyczynowo-skutkowym i następczym. Żadna operacja nie może być przyspieszona, każda musi być poprzedzona inną, i inną jeszcze wyznaczać. Są to reguły myślenia sprawnego i twórczego. W kontakcie z komputerem dziecko nabiera więc nawyku myślenia. Czy jednak potrafi je zastosować w innych niż komputerowe sytuacjach? Czy przeświadczenie o własnej sprawności logicznej pozwoli stosować te same zasady logiki na co dzień? Czy uodporni młodego człowieka na przykład na rozliczne bajdy, plotki, brednie ciemnoty i zabobory?

Zauważmy rzecz niesłychanie interesującą! Oto w wielu czasopismach spotykamy ogłoszenia o komputerowych biogramach i horoskopach. Najwyższa technika została tu zaprzęgnięta do wózka starych przeświadczeń i pseudonaukowych spekulacji. Podobnie jest z biurami matrymonialnymi dobierającymi pary według danych komputerowych. Chodzi tu o charaktery nie cechy zewnętrzne. Więc można mieć ludziom w głowach chowając się za autorytet techniki? A może to tylko przejściowa cena, jaką płać się za wprowadzanie tego „cudu” dwudziestego wieku? A może nasza młodzież, kierowana przez instruktorów i nauczycieli, potrafi zastosować ową zdobytą w kontaktach z komputerem sprawność logicznego myślenia także i w wielu innych sytuacjach? Odpowiedź na to przyszłość. Jedno jest pewne: komputer to szansa, ale tylko szansa na aktywizację myślenia i inteligencji tych którzy będą odpowiedzialni za losy kraju i świata już w wieku dwudziestym pierwszym. Czy ją wykorzystają w pełni? □



Rys. Waldemar Oleszczak

## Prosto z Wąchocka

W Wąchocku położono fundamenty pod nowy dom i codziennie je podlewają, żeby wyrósł wieżowiec podobny do takich, jakie stoją w Starachowicach.

Kiedy na stację do Wąchocka wjechał pierwszy pociąg z piętrowymi wagonami, pasażerowie przynieśli drabiny.

Na dworcu w Warszawie sottyś prosi o bilet do Wąchocka. Kasjerka upewnia się: „Do tego miasta cudów?”. Sottyś obrażony nie odpowiada i idzie do następnego okienka, prosić tym razem o bilet do Starachowic. Tu słyszy: „Starachowice? To pewnie koło Wąchocka, tego miasta cudów?”

Mieszkańcy W. wracający do domu pociągami ze Skarżyska, wysiadają w Marcinkowie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

W Wąchocku samobójcy kładą się na torach kolejowych i... umierają z głodu.

Na dworcu kolejowym w Wąchocku widnieje napis: „WC 100 m, biegiem 50 m”.

Podobno w W. są tak ostre zakręty, że kierowcy widzą na nich tylne tablice rejestracyjne swoich samochodów.

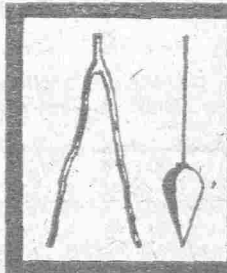
Pewna tutejsza panienska ma takiego zezę, że gdy płacze, łzy płyną jej po plecach.

Budowę nowej drogi w Wąchocku zaczęto z dwóch przeciwnych stron, ale w połowie ekipy budowlane minęły się i powstała autostrada.

Rolnicy z Wąchocka kosili w tym roku łąki na leżące, w obawie przed nisko latającymi samolotami.

(Dzisiaj skorzystaliśmy z pomocy pp. Barbary Tanczyk spod Ożarowa i Jerzego Miernika ze Skarżyska, który zebrał 137 dowcipów o W. — prosimy o brakujące nam 13. Dziękujemy P. Walczyńskiemu, W. Rubinkiewiczowi i wszystkim naszym korespondentom).





## z różdżką i wahadłkiem

EDWARD SEWERYN GAJEWSKI

15.

### KĄCIK RADIESTETY

Kącik radiestety powinien być urządzony tak, by można było pracować zawsze w tych samych lub bardzo podobnych warunkach, pozwalających wykonywać badania w spokoju, bez niekorzystnych wpływów na stan psychosomatyczny badającego. Stół (biurko) należy ustawić w osi „N-S”, sprawdzając przedtem jego polaryzację wahadłkiem, które nad jednym z końców blatu stołu odpowie ruchem obrotowym w prawo co oznaczać będzie minus (znak -) tj. stronę „S” (południe), po przeciwnej stronie blatu obrotami w lewo, co oznaczać będzie plus (znak +) tj. stronę „N” (północ). Przy tak ustawionym stole należy siedzieć twarzą zwróconą na zachód. Stół należy przykryć cienką tekturą przyciętą do jego wymiarów i nakryć płótnem lnianym. Może być obrus, ale koniecznie gładki, bez deseni.

Oświetlenie dzienne powinno padać na wprost stołu, ale dopuszczalne są inne rozwiązania. Podczas pracy wieczorem należy korzystać z lampy przegubowej z żarówką 75 albo 100 W, umieszczonej po lewej stronie stołu. Oświetlenie elektryczne powinno być zawsze o tej samej sile. Do siedzenia najlepiej używać krzesła o normalnej wysokości. Siedzieć należy prosto, z lekkim pochyleniem głowy do przodu, z lewą ręką opartą o stół, dłoń otwartą, wyprostowaną i zwróconą do góry. Nogi trzymamy blisko siebie (nie zakładamy nóg na nogi!) Przed badaniem podkładamy pod przyrządy karton zamalowany z dwu stron na czarno.

Należy koniecznie unikać koloru zielonego na sobie (ubranie) i w pobliżu miejsca, w którym przeprowadza się badanie, ponieważ promieniowanie tego koloru (zielon dodatnia) oddziałuje niekorzystnie na badającego i na obiekt badany powodując fałszywy wynik.

### PRYZRĄD „PP”

Przyrząd pomocniczy „PP” stanowi uzupełnienie przyrządu G-ETER ale może być także samodzielnie używany do badań już wcześniej omówionych. „PP” przystosowany jest do badań w różnych położeniach, ale najlepiej używać go w układzie „S-N” (jak oznaczyłem na rysunku). Przyjmując, że oś pionową przyrządu stanowi środek czarnego lewego pola, będziemy mogli ustawiać go w zależności od potrzeby w kierunkach — na północ („N”) wtedy przyrząd emanuje kolorem białym (B), na południe („S”) emanuje kolorem niebieskim (N), na wschód („E”) emanuje kolorem fioletowym (F) i wreszcie w układzie na zachód („W”) wówczas emanuje kolorem zielonym (Z).

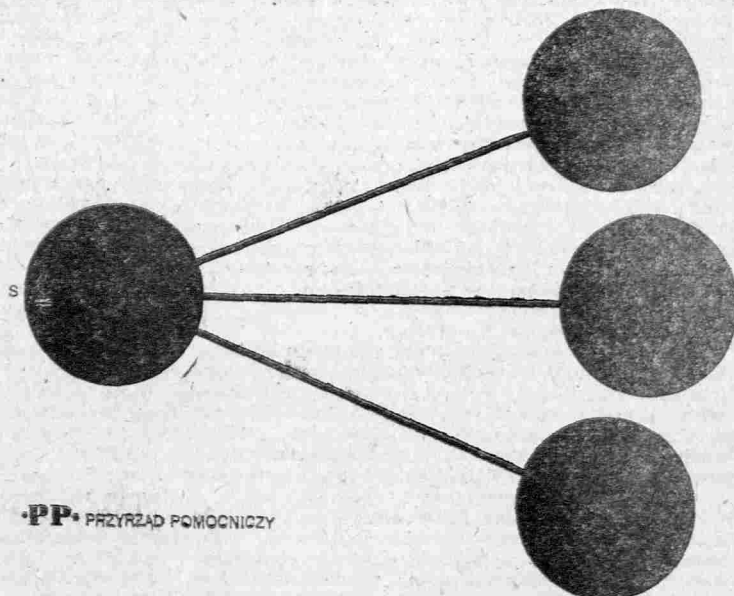
Zawsze, gdy mamy do czynienia z nowym, jeszcze nie badanym produktem, lekarstwem albo inną „rzeczą”, posługujemy się aparatem G-ETER przy którego pomocy, przeprowadzamy badanie każdego produktu oddzielnie, notując sobie w zeszycie, który jest dobry, a który niedobry i dlaczego. Następnie przy

pomocy przyrządu „PP” przeprowadzamy badanie już trzech produktów albo lekarstw spośród uprzednio wybranych, dowiadując się z takiego badania np. w jakiej kolejności możemy podać choremu jedzenie, albo w jakiej kolejności będziemy mogli podać choremu lekarstwa albo sami je przyjmować, jaki lek z innym łączyć, aby wykorzystać synergetyzm leków, a których nie łączyć, bo może zaistnieć interakcja.

Pisząc o szkodliwości zieleni, miałem na myśli kolor zielony „martwy”, np. zielona farba, światło, tkaniny, pomalowane ściany itp. Proszę nie mylić z chlorofilem, zielonym barwnikiem liści i części roślin. Zieleni roślin (chlorofil) promieniuje ujemnie (znak -) czyli oddziałuje korzystnie na organizm człowieka. Natomiast zieleni „martwa” promieniuje dodatnio (znak +), a więc niekorzystnie, a poza tym z promieniowaniem podstawowym emanuje dodatkowo wiązką innego promieniowania (np. kolorem czarnym „C”) o bardzo szkodliwym oddziaływaniu.

Przestrzegam przed używaniem torebek foliowych przy zakupach, np. kapusty kiszzonej, ogórków, wszelkich owoców itp. Również nie należy używać torebek foliowych do zbierania grzybów!!! Torebki z folii promieniują szkodliwie (dodatnio) emanując kolorami: zielonym, czarnym i czerwonym oraz kolorami tajemniczymi „a” i „b” ze spektrum jonizującego wahań uniwersalnego.

Za miesiąc napiszę o „kolorach” radiestetycznych i przedstawię przyrząd do wykrywania promieniowania dobrego i złego.



# apteka natury <sup>(53)</sup>

Redaguje  
lek med. IADWIGA GORNICKA,  
specjalista chorób wewnętrznych

## SIARKA

SIARKA (S) jest pierwiastkiem chemicznym znanym od najdawniejszych czasów. W przyrodzie występuje w dużej ilości. Jest obecna we wszystkich komórkach organizmu ludzkiego, przede wszystkim w białkach komórkowych jako bardzo ważny składnik struktury białkowej.

Związki zawierające siarkę mają znaczenie w mechanizmach detoksykacji, a grupa SH w oddychaniu tkankowym. W metabolizmie ważną rolę odgrywa bogate w energię wiązanie siarkowe, podobne do wiązania fosforanowego. Z punktu widzenia zdrowia ludzkiego, siarka jest niezbędna w tworzeniu połączeń organicznych. Głównym źródłem siarki w organizmie są dwa aminokwasy: metionina i cysteina, które muszą być pobierane z pożywieniem. Prawie 75 proc. siarki zatrzymanej w organizmie jest utleniane do siarczanów i wydalane, przede wszystkim z moczem. Część siarczanów wchodzi w połączenia ze związkami organicznymi i w ten sposób przyczynia się do detoksykacji ze związków obcych, np. siarczanu nikotyny. Niewielkie ilości nieorganicznych siarczanów wraz z sodem i potasem występują we krwi i innych tkankach. Dużo aminokwasów siarkowych zawiera keratyna – białko włosów, kopyt itp., stąd większe zapotrzebowanie na siarkę u ludzi obficie owłosionych.

W przeszłości dość długo siarkę ignorowano, potem przeszła w zapomnienie i nie była uznawana. Jej rolę w organizmie zaczęto doceniać, gdy stwierdzono, że wchodzi w skład bardzo licznych związków organicznych, utrzymujących wiele różnych, ważnych funkcji w ustroju ludzkim. Siarkę znajdujemy m.in. w kwasie glutaminowym niezbędnym dla układu nerwowego, mózgu, do tworzenia glikokolu, tj. prostego aminokwasu alifatycznego, który pośredniczy w aktywnych czynnościach mięśni, a więc jest potrzebny do leczenia chorych na SM; w witaminie B1, w heparynie, tj. substancji obniżającej ciśnienie krwi i występującej we wszystkich tkankach, w metioninie, tj. w aminokwasie występującym w wątrobie i potrzebnym chorym zakażonym złośliwym wirusem AIDS (po franc. SIDA). Siarka umożliwia wątrobie wykonywanie czynności odtruwania; gdyż działa podobnie jak filtr oczyszczający organizm z toksyn. Doświadczalnie stwierdzono, że siarka oddziałuje na stawy, skórę i stan jej owłosienia. Niedobór siarki wywołuje różnorodne, niekiedy bardzo ciężkie zaburzenia.

Organizm czerpie siarkę mineralną z wielu pokarmów roślinnych. Siarkę zawiera czosnek, pietruszka, musztarda, soczewica, fasola, rzęchucha, seler, kapusta, cebula, rzodkiew, rzepa, kalafior, groch, orzeszki laskowe, migdały, mięso. Organizm zdrowy odrzuca nadmiar biopierwiastków, bowiem automatycznie realizuje harmonię i równowagę w ich przyswajaniu.

Siarka jest stosowana do leczenia wielu chorób: artretyzm, reumatyzm, miażdżyca naczyń, dna, schorzenia skórne, dolegliwości płucne, zaburzenia wątrobowo-żółciowe, różne infekcje jelitowe, zapalenie zatok przynosowych, zapalenie tętnic,

nadciśnienie, cukrzyca. Przy leczeniu wyżej podanych chorób zalecam korzystanie z właściwości uzdrawiających wód mineralnych, np. z Buska, zawierających ciepłe związki siarki z wapnem i sodem obok wielu innych cennych mikroelementów, jak magnez, żelazo, krzem, chlor, lit, arsen, jod, brom, mangan, potas. Siarka jest doskonałym środkiem przeciw starzeniu się w miarę jak powoduje zmiękczenie tkanek, a także na miażdżycę czyli stwardnienie tętnic, na zniekształcenie tkanek chrzęstnych i ścięgienistych np. przy reumatyzmie, chorobie zwyrodnieniowej. Chorym na SM zaleca się leki homeopatyczne z siarki D 10 do D 15. Siarka w takiej postaci jest nietoksyczna.

Małe ilości siarki działają rozwalniająco. Rozdrobniona, przyłożona do skóry siarka ulega chemicznej zmianie. W ten sposób może być leczony trądzik, łojotok zwykły, łuszczyca, trądzik, blona śluzowa jajowodu, zapalenie macicy, zapalenie pochwy. Siarka stosowana jest zewnętrznie w postaci maści na łupież i świerz, przy pasożytniczych schorzeniach skórnych, ropnych skóry, a przy reumatyzmie stawowym – w postaci kąpeli.

Leki apteczne zawierają zazwyczaj siarkę w postaci żółtego proszku; jest to tzw. myta siarka, otrzymywana z siarki kwiatowej wstępnie uwolnionej z kwasowości w wyniku mycia. Taką siarkę zaleca lekarz na użytek wewnętrzny na rozwojenie i jako jelitowy środek antyseptyczny, jak również w postaci kremu czy płynu w dermatologii do przemywania owłosienia skóry głowy.

Bardziej szkodliwe niż siarka czysta są jej pochodne – dwutlenek, trójtlenek, kwas siarkowy, siarczek węgla i siarkowodór. Wdychanie tlenków siarki wywołuje duszność, trudności w oddychaniu, aż do zapaści. Zatrucie przez dawki mniejsze powoduje obrzęk płuc lub zapalenie oskrzeli, ich nieżyt i ostre schorzenie płuc. Te ostatnie mogą wystąpić podczas mgły zawierającej gaz siarkowy. Choremu należy zapewnić cisły odpoczynek przez kilka godzin, aby nie powiększać jego zapotrzebowania na tlen. Można podawać tlen, środki nasercowe i antybiotyki.

Nadzwyczaj toksyczny jest siarkowodór. Jego wdychanie może wywołać niemal natychmiastową śmierć. W przypadku średniego stężenia występuje duszność, trudności w oddychaniu, obrzęk płuc, zaburzenia równowagi, śpiączka, obfite izzawienie, niekiedy bezmózg. Chronicznymi objawami zatrucia są zaburzenia wzroku. Leczenie polega na odpoczynku i utlenianiu się.

Tiosiarczan sodowy (15–20 proc.) służy do użytku zewnętrznego np. do smarowania pospolitego grzybka skóry (łupieżu pstrego) występującego często na skórze pleców i klatki piersiowej oraz na ramionach. Smarować watką raz dziennie. Po kilku lub kilkunastu dniach skóra wraca do zdrowia. Ten sam lek, 20-proc. siarczan sodowy, używany w ilości 1 łyżka na pół szklanki gorącej wody na czczo lub trzy razy dziennie przed jedzeniem, leczy zatrucia pokarmowe przy pokrzywce pokarmowej nawet bardzo uporczywej i długotrwałej. Dawkowanie winien ustalić lekarz. Dawka dla dzieci musi być mniejsza niż dla dorosłych.

**PO RAZ TRZYNASTY** odbywał się w lipcu w Kielcach Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej. Uczestniczyło w nim 70 zespołów, w sumie — prawie dwa i pół tysiąca młodych wykonawców oraz ich instruktorów. Występowały także dziecięce zespoły artystyczne z zagranicy. Podczas pierwszych dwóch tygodni uczestnicy festiwalu przebywali na obozach w różnych miejscowościach województwa, gdzie zostały zorganizowane warsztaty artystyczne, na których młodzież pod fachowym okiem profesjonalistów nabywała ostatni szlif swemu repertuariowi. Opiekunowie zespołów i instruktorzy brali udział w zajęciach Akademii Aktywności Kulturowej. Ostatnie dziesięć dni uczestnicy festiwalu spędzili w Kielcach, gdzie odbyły się główne imprezy harcerskiego spotkania, które zakończyło się koncertem galowym w amfiteatrze.

**W UCZELNIACH** po egzaminach wstępnych, Kielecka WSP dysponowała 535 miejscami (podobnie, jak w ub. r.), o które ubiegało się 1759 osób. Największym powodzeniem cieszyła się pedagogika (5 osób na jedno miejsce), także geografia i filologia rosyjska. Brak chętnych na wychowanie przedszkolne, chemię i bibliotekoznawstwo. W tym roku WSP otworzyła przy radomskiej WSI filię z jednym kierunkiem — wychowanie techniczne. Zajęcia politechniczne prowadzić będą pracownicy radomskiej uczelni, pedagogiczne — kieleckiej. Od dwu lat istnieje i cieszy się zainteresowaniem, taki sam kierunek kształcenia w Kielcach, prowadzony wspólnie z Politechniką Świętokrzyską. Na tę z kolei uczelnię starano się 367 osób na 160 miejsc.

**W GRONIE** tegorocznych laureatów nagród „Trybuny Ludu” znalazł się Józef Kania, technik z FSC w Starachowicach, rafinatory.

WSI w Radomiu podpisała na pięciolatkę umowę o współpracy z bułgarskimi uczelniami — Wyższą Szkołą Techniczną w Russe i Wyższym Instytutem Finansowo-Gospodarczym w Swistow. Radomska uczelnia utrzymuje kontakty z kilkoma uczelniami w NRD.

**„KAZIMIERSKA BASZTA”** — najwyższe trofeum Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych, którym z udziałem 1200 wykonawców odbył się w Kazimierzu Dolnym, przypadła kapeli Jerzego Łudczaka z Wieniawy w województwie radomskim. Drugą nagrodę w kategorii kapel zdobyła grupa Józefa

Kamienika z Chustek koło Szydłowca, w kategorii śpiewaków — drugą nagrodę zdobył Sławomir Kłochowicz z Lipienia Dolnych, a wśród zespołów — trzecią zespół obrzędowy ze Strykowa Górnych koło Zwoleń.

**SALON SZTUKI**, któremu patronuje PP „Sztuka Polska” otwarto w Kielcach przy ul. Kilińskiego, w miejscu byłej pracowni Adolfa Wajncetla. Znajduje się tu galeria, a przede wszystkim — punkt sprzedaży artykułów malarzskich, więc może kieleccy plastycy nie będą musieli wyprawiać się po farby do Radomia i Warszawy.

**KONKURS POETYCKI** „O laur jabłoni”, zorganizowany po raz siódmy przez Klub Miłośników Literatury i Sztuki przy Miejsko-Gminnej Bibliotece Publicznej w Grójcu, pierwszą nagrodę przyniósł Renacie Mazurkiewicz z Szczecina, II — Janowi Kasperowiczowi z Wągrowca, III — Edwardowi Popławskiemu z Poznania. Przyznano także siedem wyróżnień.

**POETKA** i działaczka kulturalna polskiego pochodzenia z Messyny na Sycylii, Irena Conti, odwiedziła Kielce, spotkała się z młodzieżą LO im. Żeromskiego, zwiedziła Muzeum Narodowe, była podejmowana przez przedstawicieli instytucji kulturalnych. Rozważano możliwość nawiązania bliższych kontaktów kulturalnych Kielce z Messyną.

**ZYCIE TEATRALNE** Kielce nadzwyczaj rozwinęło się ostatnio. Oprócz dwu scen profesjonalnych — Teatru im. Żeromskiego i lalkowego „Kubusia” — mamy jeszcze, już po pierwszych prezentacjach, takie oto zespoły: bodaj od dwu lat Gabinet Prób Generalnych, który dał już kilka premier, Studio Teatru Kobiet Henryka Jachimowskiego — po prezentacji warsztatowej oraz — by utrzymać chronologię premierowego zaistnienia przed publicznością — Studio Aktorskie w Klubie „Pod Krechą” prowadzone przez Szczęsnego Wrońskiego, współpracownika Teatru STU, które wystawiło swój pierwszy spektakl pt. „Pieniądze”.

**SEMINARIUM LITERACKIE** zorganizowało starachowickie Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury i Nauczycielski Klub Literacki w Kielcach. Na jego program złożony się symposium „Literatura polska w latach 1980—1981”, warsztaty literackie, spotkania autorskie w szkołach i placówkach kultury.

**WYSTAWY.** Malarstwo Krzysztofa Jackowskiego prezentowała niedawno otwarta w Miechowie Galeria „U Jaksy”, malarstwo Ma-

rii Szulczewskiej de Regibus pokazała Galeria BWA „Piwnice” w Kielcach. Iżmiane artystyczną Wielkiej Brytanii (46 prac 16 twórców) eksponowało radomskie BWA, polskie szkło artystyczne ze swoich zbiorów pokazało sandomierskie BWA, w Galerii Fotografiki w Kielcach otwarto wystawę Tadeusza Jana Chmielewskiego „Zespół parków krajobrazowych Poniedział”, ceramikę ludową ziemi radomskiej wystawiło Muzeum Wsi Radomskiej.

**„TAMTEN CZWARTEK”** — publikację pod tym tytułem z naszych tamów z numeru lipcowego, przedrukowało kieleckie „Słowo Ludu”, poprzedzając przedruk następującym wstępem: „Kilka dni temu (4 bm.) — wszytkowiedząca rozgłosnia Radia „Wolna Europa” podała bulwersującą wiadomość, że: „40 rocznica masakry Żydów w Kielcach, przypadająca właśnie 4 lipca, została zignorowana przez cenzurowaną prasę PRL. Jedynie ukazujący się w Krakowie „Tygodnik Powszechny” określił pogrom Żydów w Kielcach jako jedno z najgłośniejszych wydarzeń w powojennej historii Polski... Otóż jest to „prawda” gotowa tej, utrzymywanej za amerykańskie pieniądze, agenturalnej rozgłosni „wolnego świata” upowszechniającej „prawdę” i tylko „prawdę”. Nie musimy daleko szukać, aby przyłapać RWE na zwyciężajnym kłamstwie. W „Przemiannach” — miesięczniku społeczno-kulturalnym wychodzącym właśnie w Kielcach — ukazał się bowiem materiał poświęcony tej rocznicy pt. „Tamten czwartek”. Dla pełnej egzemplifikacji tego faktu pozwalamy sobie przedrukować go na naszych łamach”.

**WOJEWÓDZKI** konserwator zabytków w Kielcach przysłał nam odpis pisma skierowanego do Koneckich Zakładów Narzędzi Gospodarczych w Końskich w sprawie, którą najlepiej charakteryzuje pierwsze zdanie listu: „Niniejszym wyrażam zaniepokojenie z powodu wstrzymania prac remontowych w zabytkowym zakładzie w Małcu”. I jeszcze zakończenie: „...brak jednoznacznej, w terminie do 31 lipca 1986 r. informacji na temat realizacji planowanych zadań rzeczowych i wielkości przerobu, spowoduje przesunięcie rezerwowanych przez nas środków na inny obiekt”.

**KZNG** odpowiedział konserwatorowi, przysyłając nam kopię: „Wstrzymanie robót remontowych w Małcu nastąpiło z przyczyn od nas niezależnych. Aktualnie na kontynuowanie robót nie posiadamy papy, lepika i cementu. Z chwilą otrzymania materiałów, brigada Spółdzielni Pracy w Końskich przystąpi do robót remontowych”. Papier znieś wszystko, czy Małeniec także?

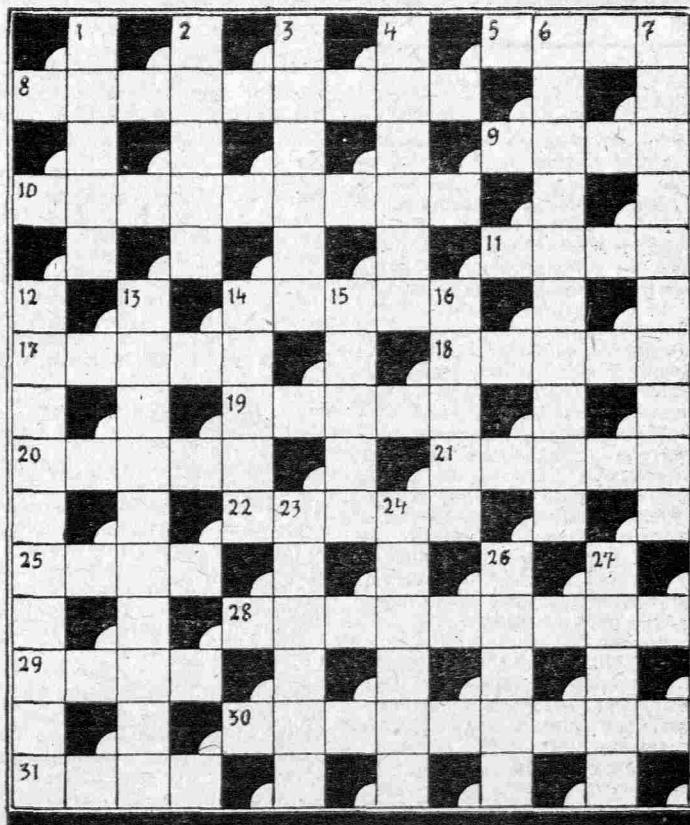


## POZIOMO:

- 5 gust
- 8) uzupełnia dzieło
- 9) wydawany we Wrocławiu miesięcznik społeczno-kulturalny
- 10) w zabytkach i wykopaliskach szuka śladów wczesnej kultury
- 11) gra w 32 karty
- 14) z obrazkowatych
- 17) im. S. Moniuszki w Poznaniu
- 18) przed Norwidem
- 19) zobaczyła Kraków, już go nie ominie
- 20) Warszawa prawobrzeżna
- 21) sekretarz generalny i dwukrotnie przewodniczący Włoskiej Partii Socjalistycznej, laureat międzynarodowej Leninowskiej nagrody pokoju
- 22) z ZSRR przez Rumunię do Dunaju
- 25) po epsilon, przed eta
- 28) republika ze stolicą San Jose
- 29) pedały w warsztacie tkackim
- 30) sztuka upiększania
- 31) wysoka sala.

## PIONOWO:

- 1) sobolowe w cenie szczerzej
- 2) czarna lub szara przy drodze i nad rzeką
- 3) miejsce myśliwskich czatów
- 4) imię autora *Trzech sióstr*
- 6) lekarstwo
- 7) periodyk
- 12) układ dzieła sztuki, a w ogóle — całość powstała z elementów
- 13) duży port nad M. Czarnym
- 14) żandarm w Turcji
- 15) generator spójnego promieniowania elektromagnetycznego
- 16) jego duże liście już od starożytności są popularnym motywem zdobniczym



## KRZYŻÓWKA 188

- 23) badacz związków życia z warunkami zewnętrznymi
- 24) szacunek w stylu nieco przestarzałym
- 26) Garbo
- 27) zająca nogi w mowie myśliwych.

Termin nadsyłania rozwiązań — do 15 sierpnia br. Pod adresem redakcji („Przemiany”, 25-366 Kielce, ul. Śniadeckich 2) prosimy dopisać: KRZYŻÓWKA 188. Losujemy bon oszczędnościowy PKO — 500 zł.

Rozwiązanie krzyżówki 187  
Poziomo: amerek, lawina, Antoni Czechow, Iwan, mandaryn, chlor, brydż, kormoran, Elba, ustawodawstwo, harpun, czynsz.

Pionowo: Bawaria, postrach, welna, kalendarz, wicher, kalwini, schab, kolokwium, dyletant, skrucza, Wanda, kalosze, Rytyard, gwizd.

NAGRODĘ (500-złotowy bon PKO) wylosowaliśmy dla Jerzego Kukli, Kielce, ul. Toporowskiego 77/6.

## Książki nadesłane

JACEK BANASZKIEWICZ: „Podanie o Piaście i Popiele”. Studium porównawcze nad wczesnośredniowiecznymi tradycjami dynastycznymi. Warszawa 1986. PWN, cena 280 zł. Autor omawia legendy związane z początkami państwa polskiego na tle podań z innych krajów opowiadających o obejmowaniu lub przejmowaniu władzy królewskiej przez poszczególne dynastie.

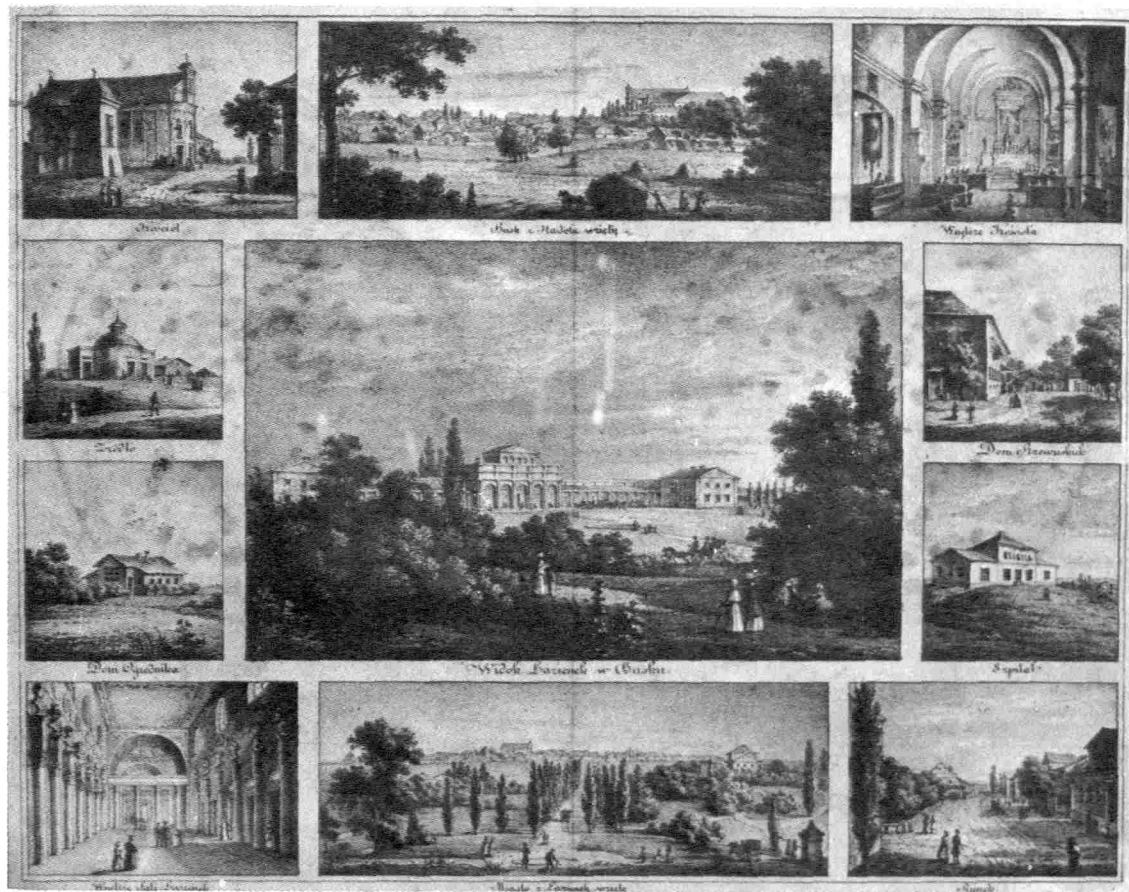
ZBIGNIEW DWORAK: „Astrologia, Astronomia, Astrofizyka”. Warszawa 1986. LSW, cena 220 zł. Książka (drugie wydanie) wyjaśnia czym była kiedyś, a czym stała się dziś astrologia oraz omawia

wyniki obserwacji i pośredniej eksploracji planet, obserwacji gwiazd i pulsarów, podaje również najnowsze wyniki badań teoretycznych.

„Nowele antyczne”. Wybór. Przełożyli i opracowali Romuald Turasiewicz, Stanisław Stabryła. („Biblioteka Narodowa”). Wrocław — Kraków 1986. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, cena 300 zł. W zbiorze pomieszczono sześćdziesiąt pięć nowel starożytnych pisarzy greckich i rzymskich, przedstawionych w krótkich notach biograficznych. Są tu m.in. utwory Homera, Ksenofonta, Ezopa, Wergiliusza, Owidiusza, Apulejusza i Tacyty.

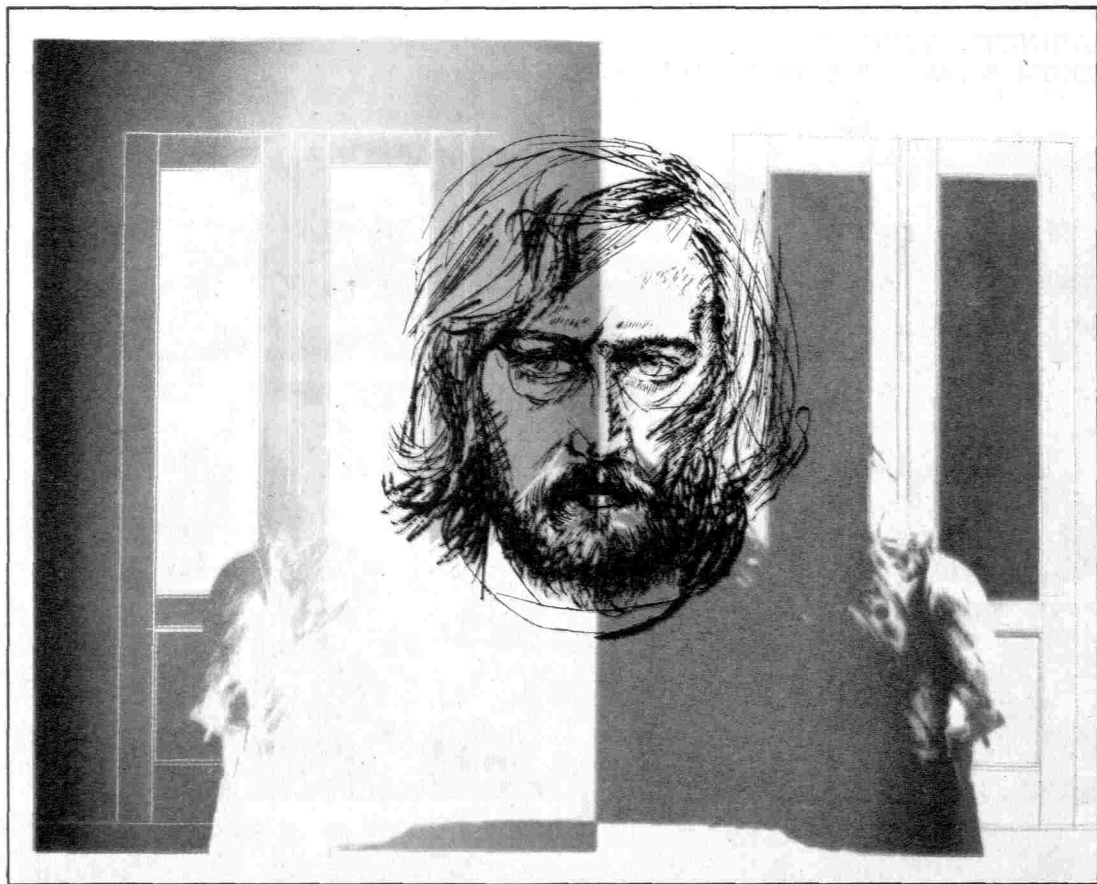
DANIEL BOULANGER: „Czy zna pan Maronne?”. Tłum. Ewa Fiszer. (Seria „Koliber”). Warszawa 1986. KiW, cena 60 zł. Nowela kryminalna francuskiego powieściopisarza, poety i scenarzysty filmowego.

Z GABINETU RYCIN  
MUZEUM NARODOWEGO W KIELCACH



Busko obchodzi swoje 700-lecie, przedstawione tu jego widoki są dużo młodsze, pochodzą sprzed stu trzydziestu czterech lat. Jest to, odbita w cynkografii warszawskiego Banku Polskiego, plansza widoków Buska wykonanych przez Adelę Łubieńską (zm. 1896 r.), malarzkę amatorkę, córkę gen. Tomasza Łubieńskiego. □

Repr. HENRYK PIECZUL



WALDEMAR OLESZCZAK — „Autoportret”

Repr. TADEUSZ JAKUBIK

Exemplarz Obowiązkowy  
WBP w Kielcach

## ODBICIE

**S**ZTUCE zawsze towarzyszyła refleksja natury ogólniejszej, nawet w jej skrajnych przypadkach abstrakcji (potwierdzają to liczne manifesty awangardy artystycznej). Refleksja ta nie ma nic wspólnego z tzw. literaturą w sztukach plastycznych, z którą tradycyjnie walczyli i walczą plastycy. Bardziej odwołuje nas do jakości barw, form, walorów, znaków zarówno naturalnych, jak też zaanektowanych przez kulturę i sztukę jako środki przekazu wartości. Ich czytelność zależy nie tylko od precyzji języka wizualnego twórcy, ale również od możliwości interpretacyjnych widza. Stąd plastycy zachowując w swych kompozycjach ogólność i powszechność idei, często jakby dośadczeniowo stosują dopowiedzenia, wprowadzające jakiś konkretny nawiązujący do jednostkowej sytuacji twórcy. Mamy wówczas do czynienia z dwoma planami sensów: ogólnym i jednostkowym.

Na podobnej zasadzie powstała grafika Waldemara Oleszczaka „Autoportret”. Antyetyczny układ

barwności i bezbarwności będący abstrakcyjnym tłem dopowiedziany został zarysami postaci starców usytuowanych symetrycznie w tym barwnym układzie. Symetrię barwnej osiowości „kolorów tęczy” i zasady: negatyw — pozytyw, burzy centralnie, graficznie „wrysowany” autoportret pełen dramatycznej powagi wzmocnionej sugestywnością podziału barwności (czerwień) i bezbarwności (biel). Ten układ w części dolnej już jednoznacznie tworzy nam białoczerwone popiersie, konkretyzujące realia miejsca. Refleksyjność tego autoportretu została poszerzona o umowne, bezbarwne okna wycięte w barwnym układzie z lewej strony i barwne w bezbarwności prawej strony. Dialektyka sensów i możliwości odwołująca się do renesansowego „okna na świat” jest tu przeprowadzona wyjątkowo czysto z zachowaniem wszystkich kolorów tęczy i pełnej dramaturgii wizerunku własnego w tej czasoprzestrzeni.

Jeśli pamięcią przywołamy liczne autoportrety twórców i jeszcze liczniejsze portrety malowane, by schlebiać gustom i wyobrażeniom modela, to w tym przypadku można stwierdzić: powstał na użytek własny. Z potrzeby przyjrzenia się sobie. □

MARIAN RUMIN